



# PISMO DLA RODZIN.

**№ 13.** Warszawa, dnia 20 Marca (1 Kwietnia) 1875 roku. **Rok 11.**

CENA PRENUMERATY

| Warszawie z odnoszeniem do domu: | | na prowincyi w Cesarstwie i Królest. | |
|---|---|---|---|
| rocznie. . . . | rs. 6 k. „ | rocznie . . . | rs. 8 |
| półrocznie. . | „ 3 „ „ | półrocznie . | „ 4 k. „ |
| kwartalnie. . | 1 „ 50 | w Austryi roczn. | 14 guld. |
| miesięcznie . | „ 50 | w Prusach „ | 24 marek. |

Opiekun Domowy wychodzi raz na tydzień, we Czwartek.

REDAKCYJA PRZY ULICY NOWY-ŚWIAT NR. 30 NOWY.

Sklad Główny w Warszawie, w Księgarni A. Kowalskiego przy ulicy Nowy-Swiat Nr. 39 nowy: w *Poznaniu* w księgarni Leitgebra i Spółki, we *Lwowie* w Księgarni polskiej, ulica Kopernika Nr 12. w *Krakowie* w księgarni A. Nowoleckiego *w Wilnie*, u J. Zawadzkiego.

NUMER POJEDYŃCZY KOP. 15.




# OMANKA
## POWIEŚĆ
PRZEZ
### Jana Zacharjasiewicza.
(Ciąg dalszy.)

I rzeczywiście żal było Salomei dzisiaj tych lat dziecinnych. Wtedy było wszystko zabawą — a dzisiaj czy raczej jutro ma ona wybrać całą przyszłość swoję, z którą już się nigdy nie rozłączy!...

Któż będzie ten, który jej tę przyszłość przyniesie? Czy to będzie człowiek, który ją otoczy zbytkiem i przepychem, wywiezie do stolicy i zagranicę przyczem wszystkie kobiety chórem zawołają: zrobiła świetną partyją!...

Chwilę zatrzymała się Salomea przy tym obrazku. Potem roześmiała się i rzekła do siebie:

— Nie — takie szczęście nie dla mnie! Ja muszę kochać i być kochaną — a taki człowiek kupiłby mnie tylko za swoje dostatki.

Po tym obrazku nadszedł drugi i trzeci. Koleją przechodzili koło niej ludzie różnego kroju i różnych zawodów, ale przy każdym jakby we figurze kotylijona, pokręciła główką, a biedny konkurent odchodził z głową spuszczoną.

— Ja chcę kochać! powtórzyła półgłosem do siebie — kochać namiętnie, kochać całą duszą i całem sercem — i tak samo być kochaną! Chcę kochać z babunią lub bez babuni, a kochać będę tym namiętniej, im większa przepaść rozdzielać mnie będzie od niego! Tak taka miłość jest potrzebną dla kobiety — a poeta nasz miał słuszność, jeżeli powiedział, że „kobiety lubią krążyć nad przepaścią!“

Przy tych słowach ujrzała Salomea jakąś czarną przepaść przed sobą, a serce jej zadrżało dziwnem uczuciem, na które składały się razem roskosz i przestrach...

Z wieży miejskiej ozwał się teraz dzwon zegaru. Biła godzina dwunasta....

Salomea z zapartym oddechem słuchała ostatnich chwil konającego dnia, który ją od jutra przedzielał! A gdy ostatni dźwięk z dziwnym szelestem na lipcowej konał rosie, odetchnęła pełną piersią i rzekła:

— Więc zaczyna się dzień nowy! Dzień dla mnie tak ważny! Cóż w tym dniu usłyszę i kogo obaczę?.... Jaką niespodziankę gotuje dla mnie babunia?

Jeszcze tych słów do siebie nie wyszeptała, gdy nagle ozwały się niskie silne tony wiolonczeli....

Salomea spojrzała z zadziwieniem przez okno... tony wiolonczeli wychodziły wprost z domku ślusarskiego!

Cóż to być może?

Salomea poczęła słuchać z zapartym oddechem.

Pełne, silne tony szły zrazu spokojnie, jakby dopiero coś zapowiadały. Po chwili zaczęły się łamać i skarżyć — z drżeniem wypowiadały jakąś tajemniczą boleść, którą nadaremnie chciał zagłuszyć huragan dzikich akordów jakby narkotyk głosów światowych... później z tego dzikiego chaosu wytrysnęła jedna i druga jasna perełka, które nanizane na nić złotą stworzyły jakąś przecudną, rzewną melodyją!...

Pierś Salomei podniosła się dziwną rozkoszą...

Była to melodyja ostatniej piosenki chłopca, gdy opuszczał domek rodzinny!...

Cóż to jest? Czy ten chłopiec teraz ze świata powrócił? Czy tam na szerokim świecie został artystą, i dzisiaj po natchnienie przybył do rodzinnego domu, który teraz wita tą samą piosenką, jaką ongi go żegnał? Jakże wygląda ten dziwny, tajemniczy człowiek, który tyle uczucia nadaje tej smutnej piosence?..

Takie urywane zapytania przebiegły nagle przez głowę Salomei — ale w końcu ustały zupełnie.

Salomea już o nic więcej nie pytała — tylko siedziała przy oknie i z pomiędzy oleandrów i liści figowych patrzała częścią na niebo ciemno-szafirowe, a częścią na domek ślusarski.

Z domku długo w noc wychodziły rzewne tony wiolonczeli i mieszały się harmonijnie z nocnym szelestem liści topolowych i srebrnym blaskiem ukrytego księżyca....

A w tonach tych było tyle pięknych, roskosznych słów — o których babunia nawet wyobrażenia nie miała!....

### VI.

Nazajutrz miała babunia wielkie zmartwienie.

— Siedzisz przy oknie, a do kuchni niezajrzysz! rzekła gniewnie do Salomei przynosząc do pokoju jako *corpus delicti* miedziany

rondel z przepaloną babką — Widzisz wszystko spaliła Małgosia na węgiel! Piękne to będą zaloty! Gdybym była kawalerem, to bym na widok przepalonej baby za dziesiąty płot od panny uciekła!

— Niech się babunia tak bardzo nie martwi — rzekła z smutnym uśmiechem Salomea, konkurenta wcale nie widać! Od dwóch godzin patrzę przez okno czy rychło nadejdzie!

— Tobie żarty w głowie a tu nie tylko strata ale i wstyd niemały. Jak to podać do kawy tak czarną babę! Cóż sobie on pomyśli.

— Nie wszyscy kawalerowie wiedzą, co się przed nimi postawi, gdy na pannę patrzą. Sama babunia opowiadała, że nieboszczyk dziadunio zjadł na ś. Jędrzeja trzy pączki z kłakami wewnątrz, które mu babunia podawała, i bynajmniej o tem nie wiedział.

— To prawda — odpowiedziała udobruchana babunia, na twarzy której pojawił się przyjemny wyraz wspomnienia — to prawda, że nieboszczyk twój dziadunio miał poczciwe serce i byłby inaczej w życiu się pokierował, gdyby go źli ludzie nie byli zepsuli.... ale to były inne czasy!

— Inne czasy! westchnęła Salomea — inne czasy.... zawsze inne czasy, gdy mowa o szczęściu! Kiedyż to były te „inne czasy,“ o których nawet stary Homer wspomina, że przodkowie jego bohaterów rodzili się „w innych lepszych czasach“.... jak to właśnie przed tygodniem czytałyśmy?...

— Już to mów co chcesz — czas dzisiejszy ani się nie umył do dawnych czasów...

Babunia wszedłszy teraz na ulubiony temat swojej gawędy, byłaby do wieczora mówiła — gdyby w tej chwili nie była Małgosia jej przeszkodziła. Weszła do pokoju z miną tragiczną.

— Wyszłam po cynamon do placków—rzekła głosem bez dźwięku — a pani tymczasem zasunęła blachę.... wszystkie placki poczerniały!...

— Skaranie boże! krzyknęła w rozpaczy babunia—nie wiem sama co się dzisiaj ze mną dzieje!... I ty jeszcze śmiesz utrzymywać, że czasy dzisiejsze....

Niedokończyła zdania, bo energiczna Małgosia z takim impetem powrót swój do zagrożonych placków uskuteczniła, że sam prąd powietrza porwał babunię także do kuchni.

Salomea siedziała chwilę w zamyśleniu.

Z kuchni przez otworzone drzwi trzech pokoi dolatywały do niej urywane, niezrozumiałe słowa. Z tych słów mogła tylko tyle wyrozumieć, że w sprawie placków wzięła Małgosia górę nad babunią, i porządnie strofowała ją za niedopilnowanie pieca. A babunia była zbyt sprawiedliwą, aby winę zwalać na nieobecną służącę, którą sama po cynamon wysłała do miasta.

— Widzisz kochanie — tłumaczyła się babunia — to prawda żem winna, ale jakoś zagadałam się z Salusią...

— Zagadała! Zagadała! odfuknęła zraniona w swojej dumie kucharka — po cóż było tyle gadać, żeby się aż placki spaliły!... Piękne to będą zaloty! Kawaler pomyśli sobie o pani i słudze: wart Pac pałaca!... Jaki pan taki kram! tego mi jeszcze potrzeba było!

— Ależ nie gniewaj się kochasiu — mitygowała babunia — możeby te placki lukrem okrasić?

— Lukrem, lukrem! Któż lukrem słodzi placki z cynamonem, imbirem i gwoździkami?... Coby pomyśleli goście o mnie?

Więcej nie mogła Salomea dosłyszeć, bo w tej chwili wypowiedziało ucho wszelką usługę.

Z domku bowiem ślusarskiego wyszedł w tej chwili młody mężczyzna w eleganckim ubiorze...

Przed progiem zatrzymał się chwilę... zapinając z uwagą obcisłe rękawiczki... Potem z pewną fantazyją założył lornetkę na oczy i czas niejaki patrzał na biały domek, na dach staroświecki, wysokie dwa kominy i na drzewa ogródka. Z ostatniej topoli wrócił napowrót do dworku, obszedł lornetką wszystkie okna frontowe i dłuższy czas zatrzymał się na okienku, w którym zieleniały się oleandry i liście figowe...

Za liściem figowym była ukryta twarz Salomei — ale jak się zdaje, nie widział jej. I dobrze że niewidział — pomyślała sobie Salomea, bo w tej chwili nie chciała, aby ją widziano. Czuła bowiem, że gorąca krew uderzyła jej do głowy. Usunęła się po za oleander o tyle, o ile młodego obserwatora z oczu nie traciła.

Młody obserwator stał czas niejaki spokojnie jakby do fotografii. Obszedł raz jeszcze cały dworek z ogródkiem lornetką a potem puścił się prostą drogą — do dworku.

Salomea miała tylko tyle czasu, że od okna odbiegła, w przelocie przez salonik chwilkę przed zwierciadłem się zatrzymała, aby włosy poprawić i kołnierzyk sprostować, a potem całym pędem wpadła do kuchni.

— Babuniu! Babuniu! zawołała stłumionym głosem — ktoś idzie do nas!

— Tam do kata! Czyż mu tak pilno? odfuknęła babunia.

Salomea zaczerpnęła głębokiego oddechu.

— Może nieprzyjąć? zagadnęła po chwili czując w duszy jakąś dziwną trwogę.

— Nieprzyjąć?.. Dla czego nieprzyjąć? gderała babunia — przyjąć trzeba, jeżeli jest już tak gorąco kąpany!

W przedpokoju ozwał się dzwonek. Konsultacyja nad plackami przerwała się — babunia była w rozpaczy.

— Porzuć to wszystko Małgosiu — zawołała gniewnie i wpuść tego pana do salonu. Idź Salusiu do niego a ja tym czasem trochę się ogarnę!

Powoli, w zamyśleniu odeszła Salomea do saloniku. W sercu czuła dziwny niepokój. Nieumiała sobie tego zdarzenia wytłomaczyć. Skąd mogła babunia wiedzieć o przyjeździe człowieka, którego prawie nie znała? Któż jest ten człowiek, który nagle jakby sen wcielony staje przed nią w tej chwili? Skąd mógł wiedzieć, że ona czasem o nim myślała?...

Zagadki, same zagadki!... Ale zagadkowa ta sytuacyja miała tyle uroku! Tyle romantycznej barwy było w tem spotkaniu!...

# Z PIĘCIU CZĘŚCI ŚWIATA.

## I.

Szanowni czytelnicy i wy nadobne czytelniczki! Wyobraźcie sobie, że, przy smutnej temperaturze wielkanocnej, jaką nas w tym roku obdarzyły nieba, zasiadamy przed ciepłym kominkiem i rozpoczynamy wspólną pogawędkę *de omnibus rebus et quibusdam aliis.*

Pragnąc zacząć, jak to mówią, *ab ovo*, przenieśmy się myślą do dziejów ubiegłego tygodnia. Otóż post wielkanocny, wraz z umartwieniem ciała, przyniósł nam wiele duchowych utrapień. Ucichły dźwięki wesołości, i obok zewnętrznego ożywienia, jakaś posępna barwa harmonizująca całkowicie z ponurą szatą natury, zaległa nad grodem naszym. Amatorzy i amatorki nauki, pukający zwolna do jej świątyni, ze smutkiem wspominają te chwile, kiedy grono uczonych prelegentów i prelegentek wygłaszało z katedry obfite jej słowa; melomani opłakują stratę opery włoskiej i koncertów i t. d.

Jedna tylko literacka rzesza zaciera ręce z radości. Dwie są przyczyny tej dysharmonii duchowego usposobienia służebników pióra z ogólnym nastrojem myśli i uczuć ogółu naszego: 1) że większa część ich należy do tej warstwy społecznej, która, ulegając nieubłaganym prawom ekonomicznym Malthusa, wolną jest od słodkiego ciężaru hymenu, jaki w tym właśnie czasie najbardziej czuć się daje 2) iż uroczystość świąteczna, obok innych rozkoszy, wspólnych wszystkim śmiertelnikom, przynosi im sporą wiązankę faktów, które, spowite w harmoniją ulotnych dźwięków, dają możność sklecenia mniej lub więcej udatnego felijetonu. I sługa wasz, rad jest niepomiernie, że pod tak szczęśliwą wróżbą rozpoczyna karyjerę felijetonisty. Oby mu Nieba były łaskawe! Słodkie są węzły hymenu! Są jednakże chwile w życiu ludzkim, kiedy ciężar jego bardziej nieco czuć się daje. Do takich chwil należą dni, poprzedzające wielkie uroczystości świąteczne. Jeżeli emancypacyja wyzwoliła piękną połowę rodu ludzkiego z niewoli i okrucieństwa, to dla czegóż łaskawa ta pani nie postarała się o ulżeniu losu nieszczęśliwym małżonkom, których nieubłagana dłoń losu postawiła w bezpośrednie związki z ekonomiczną sferą działalności kobiecej. Podobno jeden z publicystów naszych ma zamiar napisać na ten temat obszerne dzieło p. t. „Emancypacyja mężczyzn w stosunku do ekonomicznego rozwoju w dziedzinie życia rodzinnego.“ Nie wątpimy, że praca ta, poparta przez osoby interesowane, błogie w sferze praktycznych wyników przyniesie owoce.

Właśnie w chwili, kiedy piszę te słowa, widzę przed sobą zasmucone oblicze kuzynka mego.

— Żartuj sobie! — rzecze do mnie biedny niewolnik hymenu — powinieneś raczej napisać jaką smutną elegiję na ten temat.

— Cóż to, wypędzono cię z domu?

— Nie inaczej żona skazała mnie dzisiaj na post najsurowszy; stanowczo odmówiła obiadu.

— To idź do restauracyi!

Gdyby Salomea w zwierciadle teraz postać swoję ujrzała, byłaby z siebie bardzo zadowoloną. Dziwny strumień elektryczny wyprostował a nawet z wdziękiem w tył przegiął całą jej postawę. Zaokrąglone ramiona ułożyły się z niezrównanym wdziękiem, a pierś falująca zarysowała się w lekkich akwarelowych linijach. Drobna nóżka wychyliła się ciekawie z pod sukni ciemno-orzechowej, a w małej rączce jakby dla podniesienia lilijowej białości, znalazła się odłamana gałązka oleandru. Kiedy ta gałązka rozłączyła się z swoim pniem rodzinnym, o tem Salomea wcale nie wiedziała.

Teraz zaleciał z przedpokoju dyjalog między Małgosią a gościem. Gość według wszelkich form towarzyskich, pytał najprzód, czy może służyć babuni, przyczem wciskał gwałtem Małgosi swoję kartę — aby babunia wiedziała, kto przychodzi. Ale Małgosia miała nakaz puścić gościa do salonu — nieprzyjęła więc ani karty ani propozycyi gościa do babuni zanieść niechciała.

— Pani kazała pana prosić do salonu! powtarzała po raz piąty — niech pan wejdzie, bo drzwi zamknę! Gdy są otwarte, to się dymi w kuchni.

Zdaje się, że gość uznał za stosowne uczynić zadość rozkazowi Małgosi a to tym bardziej, że tego wymagał dymiący komin w kuchni.

Za chwilę był już w salonie.

Dwoje ludzi prawie nieznanych sobie spojrzało teraz na siebie.

Z jednej i drugiej strony pozdrowiono się niemym ukłonem.

Jakkolwiek wejście gościa i pierwsze jego w saloniku kroki okazywały człowieka obytego w świecie, i ruszającego się z nadzwyczajną swobodą — zbliżenie się jednak na dwa kroki do Salomei odebrało mu jakoś nie tylko towarzyską jego swobodą, ale nawet i mowę.

Salomea milczała, bo miała prawo do tego. Czekała pierwszych słów gościa, bo przecież on powinien zacząć rozmowę i swoje przybycie czemś wytłomaczyć.

Gość jednak wcale nie zaczynał. Niepowiedział kto jest i po co przychodzi. Ograniczył się tylko na wycieraniu lornetki białym fularem, z którego rozchodziła się po salonie woń miła, orzeźwiająca:—

— Wpatrując się dobrze — ozwał się wreszcie — mógłbym panią nawet między ludźmi poznać!

— I jabym pana poznała! szepnęła Salomea a twarz jej okryła się szkarłatem.

Rzecz dziwna — uważali siebie za znajomych. Ani gość ani Salomea nie widzieli potrzeby powiedzieć sobie swoje nazwisko i powód zbliżenia się.

— Pan dawno wróciłeś? zapytała po chwili dłuższego milczenia Salomea, bawiąc się gałązką.

— Wczoraj przed północą! odpowiedział gość.

— Zastałeś pan wiele zmian!

Gość westchnął. Po chwili podrzucił długie włosy do góry, przesunął po nich obcisłą rękawiczkę, wzniósł oczy do góry i odparł:

— Zawód mój, potrzebuje nawet czasem takich bolesnych ciosów.... jak stali potrzeba ostrego krzemienia, aby iskrę wydać!

— Nieomyliłam się — pomyślała sobie Salomea — on jest artystą!.,.. Co babunia mniemała, że będzie szewcem!... Zapewnie zawstydzi się teraz...

— Czy pani zawsze tak samotnie jak dawniej spędzałaś chwile swego życia? zapytał znowu gość po dłuższej pauzie.

Salomea westchnęła.

— Zawsze — odpowiedziała — ale za to bynajmniej nie mam żalu do świata. Nie ma takiej samotności, któraby nie udarowała nas jakim kwiatkiem!... A wielka obfitość kwiatów jest czasem nietylko nieznośną, ale wpływa nawet szkodliwie na ocenienie prawdziwie pięknego kwiecia!

— Masz pani słuszność! odparł gość rzucając długie włosy do góry — ja właśnie jestem w tej sytuacyi, gdzie wielka obfitość kwiatów mnie nudzi i trudzi. Dla tego otworzyłem sobie sam teraz pewien rodzaj pustyni. Wróciłem na czas jakiś do gniazda rodzinnego, gdzie nic dla mnie nie ma, gdzie prawie obcym jestem, gdzie mnie nikt nie zna!

— Przecież i tutaj nie wszyscy są obcy dla pana... przecież masz pan tutaj rodzinę!

Artysta wstrząsł długie włosy.

— Zawodem moim — odparł — stałem się dla niej prawie obcym i niezrozumiałym — a tak samo ona dla mnie jest dzisiaj obcą!

Salomea powoli podniosła oczy na twarz mówiącego, aby w jego oczach czegoś doczytać; czego tenże prawdopodnie niedomówił... gdy babunia z impetem weszła do pokoju.

Wejście babuni dodało odwagi Salomei. Dziwna chociaż przyjemna — ale na dłuższy czas nieznośna sytuacyja, skończyła się dla niej. Odetchnęła całą piersią i usunęła się z pierwszego planu na drugi.

Babunia postąpiła naprzód z twarzą mocno ożywioną. Parę chwil trwało milczenie. Babunia oglądała gościa z dołu do góry.

To samo mogła teraz uczynić i Salomea. Odzyskała swobodę, jakiej pierwej nie miała rozmawiając z gościem w warunkach tak wyjątkowych. Nie mogła nawet dobrze mu się przypatrzeć — nie wiedziała jeszcze jak on wygląda. Teraz dopiero, gdy babunia na pierwszy plan wystąpiła, spojrzała Salomea z uwagą na gościa.

Mógł on liczyć co najmniej, dwadzieścia pięć lat. Był słusznego wzrostu i wysmukły. Miał na sobie ubior wykwintny. Czarny tużurek był starannie zapięty i nie ugniatał bynajmniej czarnej, jedwabnej chustki, której końce swobodnie rozdzielały się na dwie strony świata. Na odsłonionej nieco piersi widać było bielutką koszulę z bogatym haftem. Cała postawa była swobodna a w ułożeniu głowy uderzał wdzięk niepospolity. Była ona kształtną i lekko do prawego ramienia pochyloną. Twarz odznaczała się rysami miękkiemi. Białe czoło, prawie zupełnie gładkie, wychylało się z pod naturalnych splotów jasnych włosów— pod ładnie wysklepionemi brwiami gorzało oko niespokojne, w którem na przemian wybijał się wyraz jakiejś nieugaszonej tęsknoty

---

— Gadaj zdrów!

— A to dla czego?

— Jeżeli znajdziesz tak tanią jadłodajnię, gdzie za skromną sumę pieniędzy, która, wyrażona w formule algebraicznej, dałaby ilość nieskończenie wielką, podzieloną przez samą siebie, — udzielą najskromniejszy choćby posiłek, w takim razie chodź przyjacielu, wystarczy na nas obu.

— Cóż to, nie masz pieniędzy?!

— Niestety, ograbiono mnie do szczętu. Oj te święta, te święta! Żona powiada, że w poście wielko-tygodniowym trzeba należytym utrapieniem ducha i ciała przygotować się do przyjęcia duchowych i cielesnych rozkoszy, jakiemi nas uroczystość świąteczna obdarzy...

To bolesne położenie kuzynka rozrzewniło niezbyt skłonne do czułych uniesień serce felijetonisty waszego, i wielka łza spłynęła na przygotowany do druku rękopis. Smutne myśli zaczęły trapić moję głowę. Czyż podobna, ażeby w ucywilizowanem społeczeństwie naszem mogły istnieć podobne okrucieństwa, którychby się i średnie wieki zaparły! Przypomniałem sobie wreszcie słowa pisma świętego, które głoszą, iż jednym z uczynków, przywołujących błogosławieństwo Nieba na głowę śmiertelnika, jest pocieszenie utrapionych. Pod wpływem więc tak szlachetnego uczucia, w te do strapionego małżonka odezwałem się słowa:

— Nie masz czego narzekać, mój bracie! Ty nie należyszjeszcze do najnieszczęśliwszych ofiar, czasowej dyktatury niewieściej. Puszczono cię przynajmniej na wolność, chociaż smutny stan finansowy nie dozwoli ci należycie z niej korzystać. Iluż jest stokroć godniejszych pożałowania. Ot tu, naprzykład u sąsiadów moich, wierny małżonek, złożywszy zaszczytne godło pana domu, które dla pewności zwykł niekiedy chować pod nadobny pantofelek żony, z całym zapałem poświęca swe siły fizyczne na spełnianie najpośledniejszych usług domowych, gwałcąc w najokropniejszy sposób podział pracy ekonomicznej, w sferze stosunków rodzinnych.

Kuzynek z niedowierzaniem potrząsł głową. Widocznie jednak myśl, że są jeszcze nieszczęśliwsi od niego, ukoiła nieco bolesną ranę serca. Podziękowawszy mi więc za słowa pociechy, w lepszem usposobieniu udał się na wędrówkę po ulicach grodu naszego.

Lotem strzały przebiegają urocze chwile uczty świątecznej. Natura przystrojona zwykle w świetlane blaski promieni słonecznych, upowita w pierwszą zieloność wiosny i kołysana dźwiękiem pierwszej piosenki radosnej, harmonizuje z nastrojem dusz naszych. Dziś jednakże, jakżesz smutne ukazuje nam oblicze! Mimowoli oglądamy się w około siebie i ze zdziwieniem zapytujemy: „Czyż to ma być pora wielkanocna, ta pierwsza jutrznia rozbudzającej się natury. A tu zimny poświst wiatru i szum deszczu głosem dzikiego szyderstwa odpowiada nam: O Ujazdowie, jakież smutne w tym roku są losy twoje!

Ponieważ nie chcemy zasłużyć u nadobnych czytelniczek naszych na miano prozaicznych, pominiemy więc szczegółowy opis uczty świątecznej i różnego rodzaju następstw, które

wraz z lekką ironiją przetężonego czoła. Nie znaczny zarost płowy ocieniał dolną część twarzy, i zacierał jej linije wyraźniejsze.

Po niejakim czasie wzajemnych oględzin przypomniał sobie gość, od czego był powinien zacząć. Przypomnienie to okrasiło jego twarz ładnym rumieńcem.

— Jestem Floryjan*** — rzekł do babuni — a odwiedzając moje miasto rodzinne wywiązuję się chętnie z poruczonego mi obowiązku i osobiście list ten oddaję.

— List? rzekła babunia — od kogoż masz pan list.

— Od pana Szambora! odparł Floryjan, otwierając elegancki pugilares i oddając list do rąk babuni.

Serce Salomei drgnęło dziwnie. Domysły jej o dniu dzisiejszym były różne — myślała także i o wujaszku Szamborze i spodziewała się od niego Węgra z zakręconemi wąsami, jak rogi wołów węgierskich—ale o tem wcale nie myślała, aby wujaszek był tak łaskawy i przysłał jej zatraconego człowieka, o którym tak często w samotnych chwilach marzyła...

Babunia tymczasem założyła okulary na nos, podeszła do okna i zaczęła list czytać.

Salomea musiała znowu na pierwszy plan wystąpić.

— Niech pan siada! rzekła zbliżając się do dwóch foteli — babunia nie tak prędko czyta.

Powiedziała to z ukrytym uśmiechem, gdyż była przekonaną, że babunia o liście dawno wiedziała i teraz tylko rolę odgrywa.

Tymczasem usiadł Floryjan na fotelu i z całą swobodą człowieka obyłego, założył lornetkę na nos z pewną gracyją i fantazyją.

— Czy pani lubisz muzykę? zapytał siedzącej obok Salomei, wędrując lornetką po stosach nut leżących na fortepijanie.

— Bardzo lubię — odparła Salomea — kto tak smutnie żyje jak ja, temu myzyka sprawia jedyną rozkosz!

— Obawiałem się dzisiaj w nocy, czy pani nie obudzę!

— Niespałam wcale!

— Więc słyszałaś pani moję kompozycyją?

— Słyszałam!... Zdaje mi się, że była w niej pewna reminiscencyja z dawniejszych utworów...

— Reminiscencyja?

— Z dawniejszych utworów pana... gdyś pan był jeszcze dzieckiem i na przyzbie rodzinnego domku grał na harmonijce....

Rozjaśniły się oczy Floryjana.

— Jak to? zawołał — pani przypomniałaś sobie moję harmonijkę... i moje ówczesne kompozycyje?...

— Pamiętam je prawie wszystkie!

Floryjan utopił brunatne oczy w błękitnych oczach Salomei.

— Pani pamiętasz to?

— Pamiętam!... Czy to pana zadziwia?

— Nie zadziwia. . ale uszczęśliwia mnie prawie nie do uwierzenia.

d. c. n.

---

# SPRAWY WYCHOWANIA

## I.

### Płacz dzieci.

W każdym domu w którym są dzieci, prawie się ciągle rozlega płacz. Rodzice utrzymują powszechnie że to w skutku kaprysów, że to taki zwyczaj dziecinny, że same one nie wiedzą czego chcą. Nie bez interesu więc będzie objaśnić znaczenie płaczu w życiu niemowlęcia — nie bez pożytku podać młodem matkom wskazówki, jak w różnych porach życia dziecka, co do płaczu zachowywać się wypada. Zacznijmy od noworodków.

Przybycie dziecka na świat zaznacza się płaczem. Po płaczu domownicy się dowiadują, że przybył nowy członek w rodzinie. Co ten płacz wywołało? Ha wywołało go przejście dziecka w nowe dlań zupełnie otoczenie powietrzne, *płacz to nieświadomości.*

Zetknięcie z powietrzem chłodniejszem niż to które było w łonie matki, oddziaływa drażniąco na niemowlę a głównie na jego skórę i płuca — i oto wskutku tego podrażnienia rozlega się *pierwszy płacz.* W ciągu pierwszych dwu dni na świecie bożym pobytu; dziecię prawie nie płacze — wyjąwszy gdy je kąpią, lub gdy je chłodniejsze owieje powietrze. Na trzeci dzień rozbudza się zazwyczaj dziecka apetyt, i jeżeli nie podadzą piersi malcowi—płacze. Ten płacz to skutek głodu, uczucia którego niedoświadczał dotąd.

Przykładają go do piersi — ssie, ssanie zagłusza poprzednią nieprzyjemność, dziecina się uspokaja. Matka utuliła więc dziecię piersią, nie dla tego ono jednak płakało, iżby objawiało w ten sposób prośbę o pokarmienie, ale płakało po prostu bo *doświadczało nieprzyjemnego uczucia.*

Wtedy tylko gdy nieprzyjemne uczucie wywołane głodem i płacz jako reakcyja głodu, przypadają jednocześnie z podaniem pokarmu, wtedy tylko niemowlę odczuwa, że ssanie usuwa niemiłe uczucie głodu i odtąd dopiero jego płacz oznacza dopominanie się piersi. Teraz dziecina umie prosić o pokarm, gdy więc podacie ją matce, uspokaja się chociaż jeszcze nie ssie, bo wie że wkrótce otrzyma posiłek. Pierwej uspokajało się maleństwo gdy poczuło mleko w buzi, teraz cichutkie skoro widzi lub czuje że je karmić mają. Ten płacz to nie reakcyja już tylko, ten płacz, to pierwsza mowa niemowlęcia. W tym języku obecnie przekłada ono swoje żądania.

Kiedy dziecku mokro, uczucie chłodu jakiego doświadcza skóra, zmusza je do reakcyi, dziecię płacze nie wiedząc dla czego. Nieprzyjemnie mu leżeć w wilgoci i chłodzie. Zbliża się matka przemienia pościołkę podkłada suche pieluszki.

Po kilkunastu podobnych operacyjach skojarzenie w myśli wilgoci i płaczu z przyjemnością suchej bielizny, przekonywa dziecinę że kiedy mokro, potrzeba płakać, potrzeba prosić o suchą pieluszkę, a mama z nią pośpieszy. Do 9 miesięcy życia, płacz więc wyraża prośbę, to znaczy że niemowlę *mówi płaczem.* Matka powinna znać dobrze ten język, inaczej nie

---

urozmaicały smutne później reminiscencyje! Przejdziemy natomiast do sfery innej... podnioślejszej.

Lubisz zapewne poezyją czytelniczko miła! Lecz powiedz szczerze, czy pierś twa drży prawdziwym zachwytem przy dźwięku fujarkowych pieśni młodszej generacyi wieszczów naszych, czy niesprawiedliwe ich narzekania na świat i ludzi, znajdują szczery oddźwięk w twem czułem serduszku?.. Zaiste, błyski silniejszego światełka w sferze promiennych błękitów muzy, rzadko bardzo rozjaśniają ciemne barwy naszego żywota. Dla tego też najdrobniejszy promyk jego cieszy nas niewymownie. Takim promykiem jest udatny wierszyk p. J. A. Święcickiego, umieszczony w przedostatnim Nrze Kłosów. Drży tu nuta silna prawdziwie, bo nuta bratniej niedoli, w której słychać złowrogi głos zapytania: „Dla czego?“ Nad grobem ojca rodziny—stoi matka, skamieniała w boleści, z gromadką drobnej dziatwy. Prócz bolesnej straty dręczy ją niepewność jutra, które ukazać jej może ponure oblicze głodu. W tym chaosie uczuć smutna prawda staje przed myślą zbolałej:

„Pracą trzeba okupywać życie;  
A tu matka wasza nic nie umie!  
Nic! Szatańskie potępienia słowo  
W otchłań nędzy strąca ród niewieści!  
Świat, dziewice, niby lalki, pieści,  
Matkę—śmiercią zabija głodową.  
Nic nie umieć! Dlaczego, o Panie!  
Ciążą na nas niezbłagane gromy  
Potępienia? Czemu nie przestanie  
W proch druzgotać nas Twój gniew widomy?  
I, dla czego, gdym silna i zdrowa,  
Gdy w mem sercu poświęcenia wrzątek,  
I potęga woli granitowa,  
Wyrwać z nędzy nie mogę dzieciątek  
I od śmierci zachować głodowej.“

Młody poeta nie umie jeszcze w należyty sposób władać formą wierszowaną. Lecz w utworze jego czuć siłę szczerego uczucia i podniosłej myśli.

W obec tak udatnego dźwięku poetycznej muzy, jakżeż blado wydają się produkcyje wielce obiecującego niegdyś poety — Mirona. Nie raz zapewne zachwycił was, nadobne czytelniczki, uroczy dźwięk jego piosenki. Teraz, niestety, jakżeż osłabła jej nuta! Prócz bajronicznego nastroju, w jaki wiecznie przyoblekа swą muzę—p. M. rymami swemi usilnie stara się przypominać nam pewne miejsce słynące cudami. Ot np. w chwilach smutnej refleksyi nuci następującą „pieśń pokutną.“

„O Boże! wspieraj mnie,  
Bo bez sił jestem już,  
Żyjąc—noce i dnie  
Wciąż wśród szalonych burz.

* * *

Jam wierne dziecię Twoje,  
Nie pragnę—krzywd i strat,  
Jak patrzysz w serce moje,  
Niech raz tak spojrzy—świat.

Cieszy nas przynajmniej, że p. M. tak skromne ma już żądania. Dawniej bowiem pozował on na nieszczęśliwego, przez niewdzięczny świat zapoznanego wieszcza. Głosy niezadowolnienia, jakie z powodu takiego nastroju lutni płaczącego wieszcza, często się odzywały, żadnego w dźwięku jej nie znalazły odgłosu.

W chwili, kiedy p. Miron jęczy bolesną nutą bajronicznej pieśni, poezyja nasza na nowe

odgadnie pragnień dziecka — nie potrafi je uspokoić. Przykrość to dla niej a krzywda dla dziecka! Noworodki płaczą bardzo często z tej tylko przyczyny, że sprawia im wiele przykrości, karmienie w czasie niewłaściwym, kąpanie nie w odpowiedniej porze lub w wodzie nieodpowiedniej temperatury. i t. d. Piastunki niedoświadczone nie wiedzą jak postąpić sobie z dzieckiem bo nie znają jego języka. Płacz którego nie rozumieją, wskutku nieumiejętności spostrzegania, przypisują bólowi brzuszka, i dalejże maści i przeróżne leki. W czasie krzyku wywołanego lekkiem cierpieniem, niedokuczliwym głodem albo jakąkolwiek mniej ważną przyczyną, dziecko przymyka oczki tak że skóra w około nich marszczy się a czołko się zachmurza—usteczka szeroko są otwarte a wargi wzdęte tak szczególnie że nadają ustom kwadratową formę, dziąsło mniej lub więcej jest przytem obnażone, oddech prawie spazmatyczny.

Płacz wyrażający prośbę zupełnie jest innym od płaczu oznaczającego lekkie cierpienie. Kiedy dziecię budząc się przywołuje matki aby je pokarmiła, płacze, ale charakter tego płaczu wydatnie się odróżnia od płaczu bólem wywołanego. Ważną więc rzeczą jest wiedzieć, w jakich wypadkach płaczę dziecię i dla czego — aby być w możności żądania jego zaspokoić.

Wspomnieliśmy o płaczu z powodu głodu i wilgoci, teraz inne nam jeszcze należy rozpatrzeć wypadki.

Dziecię karmi się mlekiem matki lub mamki; pokarm który przyjmuję karmicielka, zamieniony w mleko, ma wielki wpływ na dziecko. Jeżeli matka używa rzeczy trudnych do strawienia (a to się bardzo często przytrafia) wtedy żołądek dziecka albo z wielką trudnością albo wcale nie znosi mleka macierzyńskiego. Matka często nie wie nawet o tem bo sama znosi cięższe pokarmy, gdy do nich przywykła, a tymczasem mleko wytworzone z tych pokarmów trudno się przerabia w żołądku dziecka. Często z powodu użycia przez matkę niedogotowanego jedzenia, w kiszkach dziecka tworzą się wiatry a ból stąd wynikły powoduje płacz.

W pierwszych porach życia, utrzymują zazwyczaj dziecię w położeniu horyzontalnem. Skoro członki jego poczynają się wzmacniać a kolumna pacierzowa nabiera sprężystości i mocy, potrzebuje ono przebywać niekiedy w położeniu pionowem.

Ma się rozumieć dziecię nie pojmuje iż należy mu być w postawie więcej zbliżonej do położenia pionowego, o tem później dowiaduje się dopiero. Jeżeli leżenie na krzyżu lub na boku dokuczyło mu zanadto płacze czyli *prosi* aby pozycyja która mu dokuczyła przemienioną została.

Ale oto trzymacie dziecię, w postawie pijonowej kiedy nie kiedy grzebie ono nóżkami, robiąc pierwsze usiłowania stanięcia, cieszy się — weseli, patrzy na otaczające je przedmioty — na koniec zmęczyło się zbiera mu się na sen i zasnęłaby w położeniu pijonowem jak się przytrafia bardzo często ale go drażnicie ruchem albo drażnią je przedmioty otaczające i dziecię znowu płacze, napiera się do pościeli albo domaga się do położenia horyzontalnego.

Słowem jeżeli niemowlę (do 8 lub 9 miesięcy) płacze powinniście młode matki mieć na uwadze wyżej wspomnione przyczyny. Jeżeli płacze z głodu trzeba je posilić — jeżeli płacze z wilgoci, przemieńcie mu bieliznę i pościel, jeżeli z bólu żołądka, uspokójcie je odpowiedniemi środkami, jeżeli z długiego leżenia potrzymajcie go pijonowo, jeżeli ze zmęczenia, połóżcie go do pościeli spać.

Miejcie na uwadze te ostrożności a dziecię nigdy długo płakać nie będzie. Niektórzy niemieccy pedagogowie utrzymują że dzieci maleńkie płaczą z grymasu i w tym wypadku radzą je karcić klapsem. Jest to barbarzyństwo nad którem zastanawiać się dłużej nie ma potrzeby. Na zasadzie sumiennych obserwacyj stanowczo oświadczamy że nie ma kaprysu niemowlę do 8 i 9 miesięcy, i radzimy matkom zamiast płacz przypisywać kaprysowi, bliżej i troskliwiej wnikać w jego przyczyny. Z kaprysem łatwiej się niby załatwić, ale sposób załatwienia bezzasadny i nieludzki.

Zapoznając się z otoczeniem, niemowle poczyna używać swoich organów. Ręce w tym wypadku najgłówniejsze zajmują miejsce, stając się nietylko narzędziami dotyku lecz i wyrażania prgnień. Jeżeli dziecko żąda jakiegoś np. przedmiotu wyciąga rączkę i wskazuje ją palcem. Język zaczyna wprawdzie przytem wydawać pewne dźwięki, ale dźwięki te niepowiązane i nie wyraźne, tak że głównem narzędziem mowy jest ręka i tułów cały, (dziecię wyciąga się naprzód tułowiem skoro chce się bawić). W tym okresie, po 9 miesięcach, niemowle mniej płacze lub wcale nie płacze przy bacznej troskliwości matki. Spodobało mu się coś oto i wyciąga rączkę, nie licząc się wcale z oddaleniem. Płacz zastąpiła ręka i jej ruchy ale nie we wszystkich wypadkach. Wypadki o jakich mówiliśmy powyżej pozostają w swej mocy i wyrażają się płaczem, nowy tylko element mowy przybył dla zaznajomienia się z otoczeniem wewnętrznem, *wskazywanie, pukanie, i ruch tułowiem*. W tym peryjodzie nadzwyczaj ważną rzeczą jest dla niemowlęcia obecność przy niem przywiązanej i taktowanej osoby. Jeżeli dziecko nie dostanie tego czego zapragnie i co wskazało palcem — zaczyną grymasić i płakać. Początkowo grymas i płacz mają cel jeden zwrócenie większej na swoje prośby uwagi.

Teraz takt ze strony matki stanowczo jest potrzebny, żeby dziecko nie zrobiło się kapryśnem. Dwa, trzy, cztery razy nie ustąpiliście dziecku i niedaliście mu czego się napierało, ale uczyniliście mu zadość wskutku długiego płaczu. Pamiętajcież że dziecko coraz bardziej dokuczliwem będzie i grymaśnem, wiedźcież że jeżeli będziecie ślamazarni i nie stanowczy wychowacie despotę — upartego, dla którego sami potem zostaniecie zabawką. Dziecko pochwyciło już łączność dwu uczuć, swój płacz i waszę słabość. Jak tylko to poznało, jak tylko pojęło że wypada płakać aby postawić na swojem, jużeście w jego mocy. Zachciało mu się czegoś, nie dogadzacie mu natychmiast

---

wchodzi tory. Przyobleczona całkowicie w pozytywną szatę, staje się potężną dzwignią rozwoju społecznego w najutylitarniejszej sferze ekonomicznego życia.

Cieszmy się! Przemysł nasz, poparty siłą rymowanych reklam, zakwitnie niebawem i na ołtarzu dobra ogólnego donośle złoży owoce. Oto pyszny produkt tego rodzaju!

„Kto był Schnejder dobrze wiemy,
Zbytecznym jest wszelki opis,
Wódki, likiery i kremy
Daje on teraz na popis.
Aby przez święta świadczyły,
Jakie je zalety zdobią,
Ile w nich smaku i siły,
Jak dla zdrowia dobrze robią,
Jak apetyt zaostrzają,
Jak wraz wzmacniają żołądek,
Jak trawieniu pomoc dają
I jak weselą rozsądek.“

Co za realna obrazowość. Niczem ustępy z Pana Tadeusza. Wiemy z bardzo dobrego źródła, że autor broszury p.t.„Społeczne znaczenie poezyi i współczesne jej stanowisko“ raduje się niezmiernie z tego kierunku muzy naszej i bezpośredni wpływ w tym względzie pracy swej przypisuje. Szkoda zaiste, że szanowny wieszcz, który pierwszy popchnął córę Apollina na drogę doniosłej praktyczności, daje się nam poznać tylko z dwóch piewszych liter nazwiska, nie uśmiertelniając całkowicie swego imienia.

Kiedy mowa o poezyi, smutna myśl nagle przychodzi nam do głowy. O biedny Szyllerze! Nie dość, że za życia okrutne społeczeństwo skazało cię na smutny los niedoli i zapomnienia, nie dość że dzisiaj, kiedy już mogiłę twą oddawna wieńce sławy ozdobiły, niektórzy tłómacze pastwią się nad dziećmi twojego ducha, przystrajając je w szatę, wołającą o pomstę do najprostszych zasad estetyki (patrz przekład Don Karlosa i przedstawienie jego na scenie warszawskiej), nie dość natym. Ot teraz znowu jeden z organów humorystyki naszej, noszący nazwę niewinnego owadu, nielitościwie pastwi się na potężnym płodem młodzieńczej twej wyobraźni, przedstawiając go w formie wstrętnej karykatury. O szanowni humoryści, czyż brakuje wam mniej poważnego przedmiotu do ośmieszenia, że aż na posągu olbrzyma wieszacie pośledniejsze szmatki swej twórczości?

Ha! może nas o pesymizm posądzą. Lecz to choroba dosyć u nas upowszechniona. Gdzież bo niema jednostek dotkniętych ręką tej bladej mary. Nawet na prowincyi ich nie brakuje. W Lublinie np. serdecznie płaczą oni i boleją. A wiecie, co przestrasza tych panów. Oto straszne widmo przyszłości okazało się przelękłej ich myśli. W następujący sposób maluje ubolewania tego czcigodnego grona obywateli kraju, miejscowy organ Lublina. Miasto nasze na kolei nie zyska—owszem straci. Warszawa zaleje nas wyrobami swoich rzemieślników i fabryk. Przemysł miejscowy upadnie—krawcy, szewcy, stolarze i t. p. pójdą z torbami... Ukraina i Podole zasypią nas zbożem od pięty do czuba—robotnik wszelki pójdzie na zarobek do budującej się drogi, konia, wołu, osła sługi ani służebnicy nie dostaniesz, choćbyś pożądał najwięcej. Co gorzej, prelegenci zaleją całe miasto i okolice—farmazoństwo wzrośnie, powstaną różne zamorskie wymysły, szkodliwe

zaczyna płakać i jesteście zwyciężeni. Malec dostał czego żądał. Jeżeli byliście dawniej do tyla nieoględni (nieznając jeszcze przyczyny płaczu) że dawaliście łakocie dla uspokojenia, to dziecko nagle ni z tego ni z owego (już nie w chęci otrzymania rzeczy pożądanej) pocznie płakać, *kaprysić*, napiera się to cukierka, to chleba, to cukru, to tego i owego i t. p.

Trzymasz matko dziecię na ręku, zabawiasz je, pieścisz się jego rączętami.— Wtem wchodzi ktoś znajomy, rozpoczynasz z nim rozmowę o rzeczy ważnej i poważnej, a zapominasz o dziecku, o jego rączkach i nóżkach. — Dziecko domaga się zabawy, nie zwracasz na to uwagi, zaczyna marudzić, ale jeszcze nie zważasz na to, zaczyna gwałtownie płakać, przerywasz z gościem rozmowę i zwracasz całą znowu uwagę na dziecko. Przypadkiem twój syn czy córka zwyciężyła cię *po raz pierwszy*, ale jeżeli ten sam przypadek powtórzy się kilka razy, dziecko nauczy się znowu zmuszać cię do zajęcia się nim tyle razy ile razy mu się podoba. Rozmawiasz teraz z kimś obcym w jego przytomności, nie spuszczasz go już jednak z oka a nawet polecasz piastunce aby się z nim bawiła. — Na nic się to niestety teraz nie przydało, dziecko wie że dosyć mu zapłakać aby przerwać twoję rozmowę, i zaczyna płakać. Dziecko zawojowało cię matko.

Żeby nie przyuczać dziecka do kaprysów, potrzeba zwracać uwagę na jego żądania, zaspokajać je w czasie właściwym jeżeli na to zasługują, a odmawiać im stanowczo, skoro im zadość uczynić nie można.

Skoro dziecko potrafi już ukazywać palcami (9 mies.) albo mówić choćby dźwiękami (16 i 18 miesięcy) matki powinny zdecydować stanowczo, jakiemi z przedmiotów znajdujących się w pokoju wolno się bawić a jakimi nie. Jeżeli dziecko poprosi o coś należy przychylić się do prośby odrazu lub jeżeli żąda przedmiotu którego mu dać niechcecie, odmówić prośbie stanowczo i pomimo największego płaczu.

Starajcie się podczas płaczu odwrócić uwagę dziecka od przedmiotu któregoście mu odmówili, ale nie karmelkami broń Boże. Dziecko nigdy domyślać się nie powinno iż jego płaczu nie możecie przenieść obojętnie, to też od niechcenia przypadkiem niby podsuńcie mu zabawkę nową a utuli się na pewno. Gdy spostrzeże bezpożyteczność płaczu, przestanie go malec używać.

Żeby czegoś zażądać ma on ręce i buzię, do płaczu ucieka się wtedy tylko gdy wie że was zmiękczy i na swojem postawi. Gdy zobaczy że nic tą drogą nie zyszcze, nie będzie płakać, *kaprysić nie będzie.*

Jeżeli matka trzymając na ręku dziecinę, rozmawia dajmy na to z kimś innym, a dziecko jednocześnie domaga się zabawy — nie należy dopuszczać aby się rozpłakało. Jedno z dwojga a zawsze stanowczo — albo zawiesić rozmowę, i zająć się dzieckiem, albo oddać dziecko piastunce a samej prowadzić dalej rozmowę. Gdy się jednak dopuściło do płaczu, nie należy zwracać nań uwagi, a wtedy dziecko z pewnością po chwili płakać przestanie. Kąpiecie malca, pluska się w wodzie i cieszy, ale oto wyjmujecie go z wanienki, okręcacie w prześcieradło i zaczynacie wycierać. Dziecko napiera się z powrotem do wody, nie słuchacie tego i wycieracie je dalej. Dziecko zaczyna płakać. Tu zwykle dwa zachodzą wypadki—albo macie dosyć mocy i nie zważacie na płacz — ubieracie dziecko przenosicie jego uwagę na inny przedmiot, i dziecko po kilku czy kilkunastu podobnych wypadkach, wychodzi spokojnie z kąpieli, albo jeżeliście ulegli, i zadosyć czynili raz i drugi wymaganiom, okazując choćby przytem gniew swój w sposób dajmy na to — *idź idź złośniku uparty*, wiedzcież że z kąpielą zawsze będzie ta sama historyja, że grymas dziecka tryumfuje nad waszym rozumem.

Jeżeli chcecie oduczyć od kaprysów dziecko 2-u 3 lub 4-o letnie, nie wyszukujcie szczególnych jakichś na to środków. Najlepszym na to sposobem jest sposób o jakim wspominaliśmy powyżej a jaki i Russo zaleca. Polega on poprostu na tem iżby niezwracać najmniejszej uwagi na płacz grymaszącego dziecka. Jeżeli rzuca się na podłogę, tupie nogami, wrzeszczy na całe gardło, chrypnie, biega za wami, i t. d. nic sobie z tego nie róbcie jakby nie dotyczyło to was wcale. Jeżeli spostrzeżecie że płacz coraz więcej się wzmagający, może zaszkodzić dziecku, uspokójcie je w taki sposób, iżby niedomyślało się że to robicie dla niego, wnosząc czy wprowadzając np. do pokoju nową jaką zabawkę i bawiąc się z nią sami lub innemi dziećmi. Jeżeli grymaśnik zbliży się i przestanie płakać przyjmcie go do towarzystwa nic a nie wspominając o poprzedniej historyi, jeżeli po jakimś czasie zapłacze znowu, róbcie swoje jakby nic nie zaszło jakbyście płaczu nie słyszeli. Jak tylko się uspokoi, załatwcie jego żądanie. Jeżeli w ten sposób *czas jakiś* postępować będziecie, *bez najmniejszej słabości* i *z taktem odpowiednim*, możecie być pewni że wasze dziecko, pojmie bezużyteczność kaprysów i płaczów i przestanie ich używać. Rozumie się samo przez się że nie mówimy tu o kaprysach które są zwiastunami choroby jak np. krupu. Kaprysy te każda bezwarunkowo matka, bardzo łatwo odróżnić jest zdolna i powina.

Jeżeli dziecko upadło i zapłakało z bólu, nie zwracajcie na to zbyt wielkiej uwagi, gdy ma się rozumieć krzywdy się jakiej przy tem nie zrobiło. Jeżeli zrobicie z tego wielką jakąś historyję, zaczniecie kręcić się koło dziecka pokazywać mu swój smutek, albo co najgorzej, zaczniecie go zasypywać cukierkami, przyuczycie je do płaczu wtedy nawet kiedy wcale nic mu nie będzie, lecz kiedy zachce mu się łakoci. Jeżeli wychowawca nie potrafi przetrzymać postępowo powiększającego się płaczu kapryśnego dziecka, wpadnie w zależność od niego, i winien będzie rozwijania się samowoli, uporu izawziętości. Uzbrojcie się w siłę, cierpliwość i stałość, jeżeli chcecie być wychowawcami.

---

moralności publicznej.“ W tak smutnych barwach przedstawiają się tym panom przyszłe dzieje ich grodu. Z błogiego kwijetyzmu budzi ich świst maszyny parowej. Przecierają więc zaspane oczy i wielkim głosem wołają: „nie budźcie nas!“ Przedewszystkiem, szanowni obywatele, nie obawiajcie się prelegentów. „Wiedzą sąsiedzi, jak kto siedzi,“ mówi stare przysłowie. Macie wprawdzie w gronie swym zacnych mecenasów oświaty, którzy w liczbie 5 (wyraźnie pięciu) popierają miesięczną daniną organ miejscowy. Lecz nie myślimy nasyłać szarańczy umysłowej, któraby wam miły spokój mieszała. *Dormite ad finem!* póki trąba archanioła nie powoła was na sąd...ludzkości. Ma jednakże Lublin jasne swoje strony, lecz niestety... w przeszłości tylko. Oto w jaki sposób maluje ją w miejscowym organie p. Edmund Znatowicz, były mieszkaniec tego grodu:

Ty masz niejedną pełną chwały kartę,
Pamiątki koron, purpur i biretów—
I w tej koronie błyszczą niezatarte
Wielkie imiona trzech naszych poetów!
Jan Kochanowski tu padł, jak kwiat zżęty,—
Tu żył Klonowicz, za prawdę wiódł boje,
Tu światło dzienne ujrzał Pol Wincenty;
Lublinie sławny! to wspomnienie twoje!

*Noblesse oblige!* A Lublin ma szlachectwo prawdziwe, bo szlachectwo sławy dziejowej.

Ale masz tobie, znowu zabrnęliśmy w poezyją. Przebaczcie tę *idé fix*, szanowni czytelnicy, pokornemu słudze waszemu, który z prawdziwą skruchą, szczerą w tym względzie obiecują poprawę, a na początek wprowadzi myśl waszę w krainę prozy zupełnej. Oto w Kaliszu myślą o opodatkowaniu proletaryjatu miejskiego. O droga nasza rzeszo literacka! czyżby i na ciebie kolej przyjść miała. W każdym razie nie zawadziłoby nałożyć podatek na artykuły treści polemicznej, które w ostatnich czasach w zbyt obfitej produkują się liczbie. Może by tym sposobem zmniejszyła się ilość tych wytworów piśmienniczych, a natomiast ważniejsze kwestyje na pierwszy plan wystąpiły: Zgoda, panowie zgoda! *L'union fait la force!*

Wartoby tę maksymę przypomnieć niektórym Instytucyjom na partykularzu. W Płocku stowarzyszenie spożywcze „Zgoda“ zachorowało na niezgodę. Niektórzy obawiają się, żeby ta choroba nie była śmiertelną.

Za to projektomanija kwitnie na prowincyi. W Piotrkowie, jak donosi „Tydzień“ w ciągu dwóch lat ubiegłych zabłysło aż 18 projektów. Lecz niestety w sferze czynu unieśmiertelnił się tylko. Nie chcąc jednakże okazać się zbytniemi pesymistami, zaznaczyć musimy iż ludność prowincyjonalna ma bogato zastawiony stół na uczcie umysłowej i artystycznej. Do upiększenia jej przyczyniają się nie pomału teatra miejscowe. Panowie dyrektorzy trupy wiedzą czem najłatwiej zadowolnić można smak publiczności, uzyskać oklaski i naładować wędrowne kieski swoje. „Córka pani Angôt“ należyte w całym kraju zyskała uznanie. Zaiste, żaden utwór artystyczny nie pozyskał dotychczas tak wielkiej popularności. Płock, Kalisz, Lublin na wyścigi spieszą okazać swe uwielbienie pięknej gryzetce. Po tak

# ZARYSY

## Gubernij północno-i południowo zachodnich.

Skreślił
Jan ze Śliwina.

### VI.

## Gubernija Grodzieńska.

(Ciąg dalszy).

*Drohiczyn* leży po obu brzegach Bugu. Pierwsza wzmianka o nim w latopisach znajduje się pod r. 1142, był on świadkiem niejednej krwawej bitwy Litwy z Rusią i Polakami, a później najazdów krzyżackich i szwedzkich. Mieszkańców liczy koło 1000 głów, domów 122.

*Mielnik* należy także do starożytnych grodów. Ma także górę zamkową, na której stał gród warowny. Liczy koło 800 mieszkańców, domów 152.

*Kleszczele* nad Nurcem i strumieniem Dobrowodki, posiada źródła wód mineralnych, koło 2000 mieszkańców i blisko 300 domów.

*Ciechanowiec*, nad Nurcem odznacza się jarmarkami na konie, posiada kilka znacznych fabryk sukna, na których wyrób roczny ceni się do 150,000 rs.

*Orla* miasteczko żydowskie, koło 5000 mieszkańców.

*Siemiatycze*, niegdyś ludne i zamożne miasto, dziś licha mieścina, pamiętna krwawą biwą z r. 1863. Ma kilka fabryk sukna.

*Białystok* nad Białą, podobno że już istniał w. XIV. Należał do Wiesiołowskich, a później do Stefana Czarnieckiego, którego córka Aleksandra wyszła za Brańickiego i wniosła do tego domu Białystok. Stał się głośnym szczególnie od czasów Jana Klemensa Branickiego hetmana wielkiego koronnego, i kasztelana krakowskiego który tu stale prawie mieszkał, wzniósł wspaniały pałac, założył park i piękne ogrody. Żoną jego była Izabella Poniatowska, wojewodzianka mazowiecka, siostra króla Stanisława Augusta. Białystok, przyozdobiony, upiększony, stał się jakby drugą stolicą; nazywano go Wersalem podlaskim. Niejeden z panujących tu gościł. Był tu i cesarz Józef II wracając z Petersburga. Zjeżdżali się tu posłowie cudzoziemscy, a kilka razy do roku najpierwsi panowie z całej Polski. Nawet po śmierci hetmana (1771), długo jeszcze świetniał Białystok przepychem i był niejako punktem zbiorowym wielu dostojników. Tu bowiem zawsze była główna rezydencyja hetmanowej Branickiej, tu u niej przez kilka tygodni bawił Stanisław August w r. 1793. Zatrzymała ona dożywocie po mężu na ogromnych dobrach chociaż sekretnie wyszła za mąż za Jędrzeja Mokronowskiego wojewodę mazowieckiego. Białystok więc zawsze odznaczał się blaskiem, wspaniałością dworu, jakby królewskiego, bo też *pani krakowska*, wiele znaczyła w Polsce. Hetman pogrzebiony w Krakowie, w kaplicy Branickich, w kościele ś. Piotra, gdzie nad jego zwłokami pałasz złamano, jako po ostatnim ze sławnego rodu Branickich, Komesów z Ruszczy, herbu *Gryff*. Ale pani krakowska wzniosła mężowi wspaniały pomnik i w kościele Białostockim. Pomnik składa się z sarkofagu z marmuru, osadzonego na mosiężnych gryffach, które spoczywają na podstawie marmurowej. Na sarkofagu: kirys, buława i tarcza. Z tyłu wystaje piękna piramida, a na niej portret hetmana. Napis łaciński na marmurowej podstawie pomnika. Hetmanowa umarła w r. 1801. Potocki Joachim, który po jej śmierci oddziedziczył z woli testamentowej hetmana ogromne jego dobra, nie uczcił jej pamięci nawet pomnikiem. Pogrzebiona ona w tym samym kościele w Białymstoku, gdzie pomnik mężowi wzniosła; jedyną zaś po niej tu pamiątką pozostał bukiet kwiatów wyszyty na białym atłasie, oprawny w ramy, nad bukietem urna alabastrowa, a obok bukietu wyszyty grobowiec piramidalny i napis bardzo wymowny: „Przyjmij największą z cnót i zaszczytów, tę ubogą pracę moję.“ Jest to bowiem praca panny *Paszkowskiej*, osypanej dobrodziejstwami przez hetmanowę. Ona to i pamiątkę tę wyszyła i wszystkie podarunki kosztowne jakie od niej w darze otrzymała we wspomnionej urnie złożyła.

Bogate archiwum hetmana J. K. Branickiego, uległo rozproszeniu jeszcze pod koniec przeszłego stulecia. Zdaje się, że kto chciał ten zabierał i to co mu się podobało. Tak ogromny kufer z papierami przed laty kilkudziesięciu trafił aż do Wilna i później dostał się w nasze ręce. Były tam ciekawe dokumenta (naprz. cały przebieg sprawy i autentyczne indygacyje i wyroki sądowe nad znanym i głośnym awanturnikiem Marcinem Lubomirskim), raporta wojskowe i nader bogata korespondencyja nie tylko ze wszystkimi znakomitszymi panami kraju: ale z zagranicznemi nawet monarchami i ambasadorami. Samych listów od panujących było kilkadziesiąt *). Ciekawe nadzwyczaj te akta dowodnie świadczą jak wielkie było znaczenie i powaga hetmana w kraju i za granicą.

d. c. n.

*) Wszystkie te nader ważne dla historyi dokumenta są dziś własnością hr. Aleksandra Branickiego (herbu Korczak i znajdują się w *Suchej*, w Galicyi.

## Kronika Zagraniczna.

(ciąg dalszy)

Czyliż zapytuje profesor Stein — owa nie zliczona ilość zajęć drobiazgowych w domu, przyczyniająca się do utrzymania ładu — czyli to służyć ma tylko do uprzyjemnienia? Weźcie panowie w rękę papier i ołówek a przekonam was, że każda rzecz doglądana, naprawiana, z szywana w domu przez kobietę, trwać może jeśli na dnie, to zamiast dziewięć dni, dziesięć, a jeśli na lata, to zamiast lat dziewięciu, z pewnością dziesięć.

smacznej potrawie następuje mała przekąska—„Waza na stole“ lub inny ulotny płód wesołej muzy. Osoby, pragnące głębszych dramatycznych wrażeń mogą zachwycać się efektownemi scenami z „Tułacza“ lub podziwiać w jak straszny sposób pastwią się młodsi bracia Garryka nad płodami wieszcza Albijonu. O biedny Otello! kto cię nie widział na scenie prowincyjonalnej, ten nigdy szczerym nie obdarzy cię współczuciem.

W ogóle prowincyja nie ustępuje w niczem Warszawie. Brakuje jej tylko różnego rodzaju widowisk, któremi Germanija nas obdarza.

Już to szanowny „*Vaterland*“ hojnie udarowywa nas wszystkim, w co różnorodna działalność jego obfituje. Ot i teraz „ein junger Mann“ z berlińskiego Uniwersytetu ogłasza w Izraelicie iż pragnie przybyć do nas, i wykazując zasoby swej wiedzy, objawia, iż umie jak najlepiej władać językiem polskim, w dowód czego pisze ogłoszenie po niemiecku. Szanowny germanin zwraca się tu do żydowskiej klasy, nie przypuszczając zapewne w błogiej naiwności, żeby ina mowa była dla niej zrozumiałą. Nie dziwota! — nie czytał on zapewne szumnych artykułów w kwestyi żydowskiej, jakie przed niedawnemi czasy, ozdabiały rubryki pism naszych.

O ile jednakże wpłynęły one na przełamanie kastowości, najlepiej dowodzi tego „Stowarzyszenie subjektów handlowych,“ które pragnącym zapisać się w liczbę członków innowiercom stanowczą daje odmowę. Czyż by chrześcijańskie owieczki zaraziły wiernych w Izraelu.

Już widzimy spadające na głowę naszę gromy walecznych obrońców, którzy na każdym kroku gotowi kruszyć kopiją w imieniu współwyznawców swych, zamiast, wykazując wady, starać się o ich naprawę.

Bezstronni czytelnicy nie posądzą nas zapewne o jakiekolwiek uprzedzenia. Szczerze pragniemy bratniego sojuszu dzieci jednej ziemi i rozproszenia ponurego mroku niechęci obustronnej. Lecz, pragnąc zwrotu ku lepszemu, chcielibyśmy wprzód złe naprawić, pragnąc wyleczenia, chcielibyśmy odkryć wprzód źródło choroby i wszelkie jej objawy, aby przeciwko takowym należyte w sferze czynu przedsięwziąć środki.

Ale wskazując błędy obce, sami zbaczmy z właściwej drogi. W niezbyt ponętnej barwie przedstawia się wam zapewne.... felijetonista moralizujący. Lecz przecież to ogólna cecha wszystkich tworów piśmienniczych, iż na końcu jak kłująca szpilka, morał występuje. Czyżby sługa wasz miał być gorszym od starszych swych braci po piórze?....

Czytelnik który odczytał tytuł a następnie cały felijeton, zdziwił się zapewne, że zamiast nowin z pięciu części świata, znalazł w nim tylko świąteczne okruchy faktów i fakcików z naszego „nadwiślańskiego“ zaścianka. Ale odkrycie to nie powinno obudzić w nim wątpliwości, co do obszernego zakresu nowej tej rubryki. Zaczęliśmy zbierać najbliższe okruchy, ale niebawem, krąg naszych zbiorów rozszerzy się — niech tylko przejdą wielkanocne ferje, które nam przypływ nowin z wielkiego świata odcięły. Przyp. Autora.

Przyznać zatem trzeba, że kobieta gospodarna, choćby nic nie wyprodukowała, to wskutek pracy utrzymującej wszystko w stanie dobrym, oszczędza w ciągu jednego roku jeden procent w kolosalnej sumie zbiorowych dóbr ruchomych.

W każdej rodzinie pojedyńczej czyni to rocznie pięć procent, których kobieta wprawdzie nie zarobi, ale których *nie roztrwoni*, nie puści na marne.

Jeżeli więc przypuścimy, że społeczeństwo które składa się z 6 milijonów rodzin, to kobiety takiego społeczeństwa zaoszczędzą rocznie najmniej 30 milijonów talarów, guldenów czy franków, których zaoszczędzić nie byłby wstanie mężczyzna. Wynika z tego, iż w ciągu lat dziesięciu bylibyśmy bogatsi o kilkaset milijonów, gdyby kobiety były gospodarnemi w ścisłem znaczeniu tego wyrazu.

Tych kilkaset milijonów moglibyśmy obrócić na ulepszenie produkcyi, żeby rzeczy wyrabiane stawały się coraz lepszemi i trwalszemi.

30 milijonów w roku, których nie zarobiliśmy, tylko nie zmarnowali, czyli zaoszczędzili, czyliż to podobna? Śmiejcie się, że o takich drobnostkach poważa się ktoś mówić a jeszcze do tego ze stanowiska naukowego! A jednak, warto się zastanowić nad tem. Jeżeli nie upatrujecie nic komicznego w tem, gdy statystyka oblicza szkody jakie wyrządza mały robaczek, gąsienica, chrabąszcz, to będziecież się śmiali z tego, jeżeli obliczymy cyframi, ile szkód się unika kiedy się naprawia koszule, pończochy, chustki i naczynie stołowe?

Dajmy na to, że owe 6 milijonów rodzin potrzebują tylko — wcale nie dużo — bo 20 milijonów koszul to potrzeba ta przedstawi nam kapitał 27 milijonów talarów albo guldenów. To zaś niewątpliwa, że przez staranne utrzymanie bielizny nosić ją można o 10% dłużej, a w takim razie zaoszczędza się na samych igłach i niciach 2,700,000 rocznie.

Popytajcie nareszcie naszych wyrobników w fabrykach, ile to człowiek, lud ubogi wyrzec się musi dla tego, że wielu rzeczy nie ma, a przekonacie się ile społeczeństwu pozostać może nadwyżki, jeżeli wszystkie jego kobiety będą prawdziwemi gospodyniami domu i nauczą się mniej konsumować (spotrzebowywać), ale natomiast wiele *utrzymywać w dobrym stanie*. Prawdziwie, pojąć tego nie zdoła chyba tylko bajeczny bogacz albo ostatni nędzarz!

Według zasad zdrowej ekonomiki nie jest to wcale frazesem, że dom, jest państwem kobiety, gdyż dom jest niewątpliwie jedną z najpotężniejszych dźwigni gospodarstwa, i od niego poczynać się winna nauka, jeżeli o specyjalnej nauce ekonomii dla kobiet myślimy.

Najbardziej właśnie pouczającemi są zjawiska życia powszedniego, jeżeli się z tej powszedniości zrobi kwestyje, na które odpowiedzieć trzeba. Wówczas przekonywamy się, że chcąc znaleść odpowiedź, trzeba wytężyć wszystkie siły umysłu."

Odczyt kończy p. Stein wykazaniem, co jest prócz strony gospodarskiej, prócz ładu, duszą domu. Całkiem naturalnie, że biorąc dom za podstawę, nie mówi w swojej pracy o zadaniu kobiety po za ogniskiem domowem. Według niego, to zadanie po za domem, należy do innej gałęzi wiedzy, jest przedmiotem socyjologii, a kobieta po za domem należy do ludzkości. O tem stanowisku kobiety zapowiada osobną pracę, a skoro się pojawi nie omieszkamy zdać z niej sprawy.

Nie masz nic nowego pod słońcem, ale też i nic, czegoby wytrwała praca i nauka nie zgłębiła. Z temi słowy przechodzę do innego przedmiotu i chcę słów kilka poświęcić człowiekowi, którego zmudna praca zabiła w sile wieku, w 41 roku życia. Człowiekiem tym był badacz francuski starożytnego Egiptu, François Champollion.

Jemu to udało się — choć to wyrażenie nie stosowne — on to chciał i zbadał język zawarty w hieroglifach egipskich i zbudował przybytek dla starożytnego języka Egipcyjan.

Potrzebaż mówić, jaki pożytek w ogóle z nauki, a jaki z tego co nam przekazały wieki? Choćby nie wielu upatrywało w tem korzyść tę, że dziś wiemy o ileśmy postąpili w naukach, sztukach i obyczajach od 4000 lat, to jednak każdy znajdzie wiele ciekawych rzeczy, czytając o tem, jak pracowali, czuli, myśleli owi ludzie żyjący przed tyloma lat tysiącami.

d. n.

---

## Rady Higijeniczne.

Warunki zdrowego pomieszkania.—Światło i ciepło.—Odzież—Krawaty, gorsety i szelki.—Podwiązki kobiece.—Powietrze.—Sen i sypialnia. — Bromek potasu.—Przyrząd wzrokowy.— Środek zaradczy na cuchnącą woń z ust.—Pocenie się nóg.—Woń z ucha.—Gimnastyka i kąpiele.—Łaźnie parowe.—Higijena włosów.—Siwizna i ołysienie.— Kołtun— Środki pielęgnowania zębów. —Choroby najczęściej powstają z zaniedbania przepisów higijenicznych.

---

Medycyna podaje środki przywrócenia zdrowia—higijena wskazuje w jaki sposób toż zdrowie, można zachować.—Przepisy higijeny dla każdego człowieka są zatem nieoszacowanej wartości.—

Chodzi tu o najdroższy skarb życia—o zdrowie w braku którego istnienie nasze staje się męczarnią.— Ze względów tych rozumiemy że poznajomienie czytelników „Opiekuna Domowego" z radami higijeny, nie będzie bez korzyści.

Weźmy na chwilę pod uwagę nasze mieszkania, przedmiot to ważny, gdyż przynajmniej połowę życia spędzamy w tych klatkach zbudowanych na pomieszczenie rodzin. Czyste powietrze, swobodny przystęp światła, suchość murów i średnia temperatura ciepła, są tu pierwszemi warunkami zdrowia. Mieszkanie brudne, ciasne, ciemne, wilgotne, zbyt zimne, lub zbyt gorące, wpływa najfatalniej na rozwój naszego ciała.

Nieczyste utrzymanie mieszkania sprowadza na ludzi w nim przebywających roje paso żytów, wgryzających się we włosy i skórę. Ciasnota nie może zaopatrzeć naszych płuc w odpowiednią ilość tlenu, tego ożywczego pierwiastku powietrza. Ciemność torturuje nasz wzrok —wilgoć przeciska się do kości i sprawia bolesne zaburzenia w organizmie, wywołuje niekiedy głuchotę i zgubnie wpływa na organa oddechowe. Zimno nadmierne równie jak zbyteczne gorąco, działa niemniej szkodliwie. Znane są powszechnie odmrożenia wywołane zimnem, tudzież osłabienie całego ciała, spowodowane wysokiem ciepłem.

Kto miłuje zdrowie, starać się usilnie powinien, aby mieszkanie jego odpowiadało powyżej wskazanym warunkom.— Niech będzie ono zasobnem w czyste powietrze, wolne od wszelkich woni i wilgoci. Pokój na sypialnię wybrany, szczególniej powinien być przewietrzanym— nie należy w nim zawieszać bielizny mokrej do suszenia, jak to często się zdarza w pomieszkaniach klasy biedniejszej. Człowiek dorosły potrzebuje co najmniej 24 stóp kwad. miejsca na wyspanie się przeznaczonego —dziecku wystarcza 16 stóp kwadr.—Wypływa stąd, że sypianie wielu ludzi w jednym pokoiku jest wielce szkodliwe— wyziewy z nich powstające zanieczyszczają powietrze i wywołują najczęściej choroby. Wszelkie nieczystości powinny być zaraz z rana z sypialni usuwane, z nich to bowiem wywięzują się zaraźliwe miazmaty zarażające powietrze, zwłaszcza też jeżeli pochodzą z osób dotkniętych chorobami.

Ze względu na światło, mieszkania zwrócone na południe są nierównie zdrowsze od położonych na północy. Niemniejszą zwracać potrzeba uwagę na światło sztuczne mieszkania, gdzie palą się lampy naftowe, potrzeba często przewietrzać. W sypialniach nie powinien wcale płonąć gaz, gdyż ten zbyt wiele niszczyłby tlenu, tyle potrzebnego w procesie oddychania. Gaz zatruwa przytem powietrze a wrązie niezamknięcia kruczka lampy, w tym stopniu niekiedy zapełnia pomieszkanie, że wywołać może wybuch za wniesieniem do pokoju zapalonej świecy. Zakręcanie mocne kruczków oraz zamykanie rury gaz prowadzącej, zalecamy najusilniej.

W pokojach mieszkalnych ciepło nie powinno być wyższem od 15 lub 16 stopni Réaumura. W lecie rozstawianie naczyń z zimną wodą obniża nieco temperaturę—w zimię potrzeba piece opalać. Przy użyciu jednak węgla za materyjał opałowy zwracać należy na to uwagę, aby tworzący się gaz węglowy nie uchodził na zewnątrz.

Nienależy zamykać pieca z węglami dopóki migocą w nim płomyki niebieskawe, a zatykając luft potrzeba przedtem zamknąć drzwiczki piecowe.

Mieszkania wilgotne i zimne zaliczamy do najniezdrowszych—zbytecznej suchości powietrza w mieszkaniu, zaradzamy otwieraniem okien, rozwieszaniem mokrych płatów płótna.

Na farbę jaką powlekane są sciany niemniej zważać potrzeba—świeżo pomalowane pokoje nie powinny być zamieszkiwane— farba zielona najczęściej zawiera w sobie arszenik, który ulatniając się powolnie, sprowadzić może niebezpieczne zatrucia.

Na wsi mieszkania w rozległych gęstych lasach zbudowane, są również niezdrowe, a to z powodu wilgoci znajdującej się w ich bliskości—przeciwnie mieszkania położone w pewnej odległości od lasów wyziewających tlen dobroczynny, są wielce pożądane. Pomieszkania w bliskości bagnisk i mokradeł leżące, są

najniezdrowsze—nie potrzeba przytem zapominać, że okolice zalane wodami, a szczególniej też tak zwanemi *stojącemi*, są gniazdem upartych zimnic i wielu innych chorób.

Obok mieszkania, ważne dla naszego zdrowia ma znaczenie odzież, ochraniająca nas od szkodliwych wpływów zewnętrznych, i przyczyniająca się dzielnie do utrzymania jednostajnej temperatury ciała.

Nie powinniśmy zapominać, że w zimnem zwłaszcza powietrzu, z każdą chwilą oddajemy część cieplika otaczającej nas atmosferze.— W zimię odzież zapobiega przeważnie temu ubytkowi ciepła, — w lecie zaś niedopuszcza ona tak samo do ciała ciepła zewnętrznego. Rzeczą jest jasną że odzież naszę powinniśmy zastosować nietylko do atmosfery, do ciepła lub zimna, dnia lub nocy, ale nadto do wieku naszego życia, do zatrudnień naszych i stanu zdrowia.—Grzbiet i pachy, brzuch i nogi powinny być najcieplej utrzymywane. Chorzy powinni nosić pończochy wełniane, opaski na brzuchu, kaftaniki na gołem ciele.

W ogóle środek naszego ciała, wymaga większego zabezpieczenia od zimna niż inne części. Ludzie młodzi i średniego wieku powinni nosić odzież mniej ciepłą niż starzy i dzieci.— Umiarkowane hartowanie ciała w młodych latach, wydaje błogie skutki w wieku późniejszym, organizm wówczas nie tak łatwo ulega ostrym wpływom zewnętrznym. Głowa z natury zabezpieczona włosem, nie potrzebuje zbyt ciepłego okrycia, chyba w czasie silnych mrozów—szyję najlepiej od dzieciństwa nosić gołą—noszenie grubych wełnianych szalów na tej części ciała, krępowanie jej sutemi krawatami, sprowadza ten tylko skutek, że przy braku choćby chwilowym tych powijaków następują rozmaite choroby gardlane. Między kołnierzykiem a szyją powinno być zawsze miejsce wolne przynajmniej na dwa palce.— Klatka piersiowa potrzebuje obszernej odzieży dla swobodnego oddychania. Ciasne suknie i sznurówki, fatalny wywierają wpływ w tej mierze na organizm kobiecy, mężczyznom podobnie szkodzą surduty, zapinane pod szyją opięte, i szelki jeżeli te krzyżują się na piersiach. Brzuch w okolicach zwłaszcza wątroby, śledziony i żołądka powinien być wolnym od wszelkiego nacisku.

Ciasne gorsety i staniki niewieście równie jak męzkie paski rzemienne, są szkodliwe.— Zamiast tych pasków dziś w tak powszechnym użyciu będących, higijena zaleca szelki elastyczne gumowe, krzyżujące się na plecach.

Obuwie powinno być swobodnem — ciasny trzewik lub but wywołuje wytwarzanie się bolesnych nagniotków i wrastań paznogci.— W tym ostatnim razie, należy obuwie zamienić na swobodniejsze, a pod paznogieć wrastający nie obcinając go wiele, podłożyć kawałek waty. Pończochy bawełniane są lepsze od nicianych, kto doznaje mocnego się pocenia nóg, powinien używać pończoch wełnianych. Przy użyciu kaloszy częsta zmiana skarpetek i pończoch, jest konieczną. Podwiązki wiązać należy nad kolanem, ponieważ zawiązywane pod niem utrudzają krążenie krwi, a nawet mogą wywołać rozdęcie żył u osób które wiele używają ruchu. Najlepiej byłoby dla kobiet nosić dwa rodzaje podwiązek dla zmiany—jedne wiązane pod, drugie nad kolanami.—Jedna bowiem opaska leżąc zawsze na tem samym miejscu, wciska tę część ciała i szkodliwy wpływ wywiera, przemiany zaś podwiązek uchylają wszelkie złe następstwa.

Odzież powinna zawsze stosować się do ciepła i wilgoci otaczającego nas powietrza. Przy zmianach zachodzących w następstwie po sobie pór rocznych, potrzeba ciało przyzwyczajać do nich zwolna i stopniowo. W lecie barwy białe i wogóle jasne odzieże, są najwłaściwsze, gdyż mniej przepuszczają promieni cieplikowych,—przeciwnie w zimię barwy czarne, ciemne, jako dzielniej zachowujące cieplik, są odpowiedniejsze. Odzież zmokłą należy zmieniać bezwłocznie— bielizna powinna być zawsze czystą.

Ważnym warunkiem zdrowia jest częste przebywanie na otwartem powietrzu. Dzieci zamykane jak rośliny exotyczne w pokojach cierpią najwięcej—płuca ich potrzebują powietrza, nie należy im więc wzbraniać przechadzki w lecie a nawet w zimie. W tym ostatnim razie powinny mieć rozumie się odzież ciepłą. Nie potrzebujemy zdaje się nadmieniać, że w czasie wielkich mrozów i kurzawy albo deszczu, dzieci powinny pozostawać w domu.

Sen wraca nam siły utracone w skutek ruchu całodziennego i pracy—w czasie snu czynności mózgu ulegają zawieszeniu. Im większa była czynność mózgu w czasie czuwania, tem potrzebniejszy jest długi i spokojny sen. Człowiek dorosły nie potrzebuje spać dłużej jak 7 lub 8 godzin— dzieciom okazującym skłonność senną, nie należy nigdy wzbraniać spoczynku, który trwać może 10 do 12 godzin. Osoby chorowite, potrzebują dłuższego czasu na sen niż zdrowe, silne i czynne. Sen zwykle z początku bywa najgłębszym, nie należy go przerywać, sen bowiem tylko długi i spokojny wzmacnia nasz system nerwowy i mięśniowy. Sypianie w pokoju zapełnionym roślinami lub przy otwartych oknach jest szkodliwem. Łóżko powinno być długie i szerokie—nie za twarde ani za miękie — nie zimne ani za gorące.— Najzdrowiej spać na materacu z włosia lub trawy morskiej, używa się w zimie ciepłej, w lecie zaś lżejszej kołdry. Poduszka pod głowę powinna być nie zbyt nisko usłana.—Dla dzieci i osób chorych zalecają się łóżka ciepłe, ogrzewane cegłą w razie potrzeby. Sypianie kilku osób w jednem łóżku jest szkodliwem—zwracać też należy uwagę *aby nigdy dziecię nie spało z osobami podeszłego wieku*, gdyż zdrowiu dziecka szkodzą wielce wyziewy starców. Przed udaniem się na spoczynek nie należy posilać się zbyt obfitą wieczerzą, unikać też należy wszelkich gwałtownych wzruszeń. Osobom drażliwych nerwów zalecamy wyborny środek higijeniczny.— Wzięcie kilku kropli na cukrze, bromku potasu, sprowadza sen spokojny i przyjemny, za przebudzeniem się rannem wszelka drażliwość niknie jakby przez czary. Działanie dobroczynne bromku potasu na organizm ludzki, wykrył słynny fizyjolog francuzki Klaudyjusz Bernard.

Po spoczynku, budząc się powinniśmy zwracać uwagę na to, aby nasz przyrząd wzrokowy nie był wystawiony na silne jakie światło. Z tego też względu, spanie z twarzą zwróconą ku oknu, jest nagannem.

Najlepszem światłem jest słoneczne, najgorszem gazowe— dla słabego wzroku korzystne są okulary niebieskawe, gdyż łagodzą zbyt żywe działanie światła na naszę siatkówkę. Przy pracy zważać potrzeba aby światło padało z lewej strony— przy świetle sztucznem tak lampę ustawić potrzeba, aby wyrzucane z niej światło, padało jedynie na przedmiot naszej pracy, a nie odrzucało się na oczy. Jeżeli praca jest długą, potrzeba koniecznie w pewnych chwilach ją przerywać, aby pewien wypoczynek oczy zyskały.

Cuchnąca woń z ust najczęściej pochodzi z psujących się resztek potraw zawięzłych pomiędzy zębami. Regularne płukan[illegible] ust i czyszczenie zębów po jedzeniu, temu zaradza.— Gdyby jednak ten środek nie pomagał, dobrze jest czyścić zęby płynem zawierającym nieco wyskoku czyli alkocholu, jak naprzykład wodą kolońską, spirytusem, eterem i t. p.

Przy cuchnącym pocie nóg pomaga nieraz wrzucenie kwasu winnego do pończoch—przytem dobrze jest nacierać palce świeżym łojem, a spód pończoch smarować rozczynem glinki i używać często kąpieli.

Odrażająca woń z ucha ustępuje przez wtryskiwanie ciepłej wody— jeżeli miejscem cierpienia są nozdrza, oprócz wody ciepłej, dobrze jest wciągać rozczyn chlorku, wapna (część chlorku na 6 cz. wody) lub odwar kory dębowej.

Do zdrowia przyczynia się dzielnie gimnastyka i kąpiele. Tak zwana gimnastyka szwedzka jest najstosowniejszą dla dzieci.—Nie chodzić tu powinno o łamańce niebezpieczne, lecz o rozwój siły. Hantle wpływają wybornie na rozrost klatki piersiowej i wzmocnienie mięśni rąk.—Wszakże należy stopniowo do nich dzieci przyzwyczajać, zaczynając od 3 funtówek.

Codzienne zmywanie całego ciała wodą letnią a nawet i zimną, jest dla zdrowia bardzo korzystnem.

Mydło przy myciu jest o tyle tylko dobre, że rozpuszcza tłusty brud, którego woda czysta zebrać nie byłaby w stanie.

Zimne kąpiele są przedziwne dla osób zdrowych, posiadające mocne płuca.— Woda taka odżywia cały organizm, nadaje mięsniom siłę, a po użyciu jej uczuwamy apetyt i pewne zadowolenie w całej naszej cielesnej budowie. Potrzeba przecież przy użyciu kąpieli zimnych a mianowicie rzecznych, zachować pewne ostrożności. Przedewszystkiem niepowinniśmy udawać się do kąpieli z obładowanym żołądkiem—pozostawanie w niej ma trwać 5 do 8 minut, poczem ciało należy wytrzeć do suchości, ubrać się szybko i używać ruchu przynajmniej przez pół godziny.—Po takiej przechadzce można wypić herbaty i posilić się jakim pokarmem.

Długie pozostawanie w kąpieli i zaniedbanie ruchu naraża na zaziębienie.

Osoby silne, zdrowe, przywykłe do zimnych rzecznych kąpieli, mogą bezkarnie rozpoczynać je od połowy kwietnia i ciągnąć do listopada a nawet grudnia.

Nie każdy wszakże m[illegible]że ich naśladować.— Osoby chore, lub wątłe [illegible]epiej uczynią poprze-

stając na kąpielach ciepłych i łaźniach, które niezaprzeczenie wywierają wpływ dobroczynny na zdrowiu. Nie wyobrażajmy sobie aby proste mycie codzień z rana usuwało z naszej skóry nieczystość.— Jest to złudzenie, o którem mikroskop może każdego najwidoczniej przekonać.

Ciało nasze w skutek noszenia odzieży, pokrywa się jakby pokostem, wielce szkodliwym, gdyż zasklepia pary naszego ciała, z istnieniem których związanem jest nasze zdrowie a nawet życie.—Oskubmy z pierza wróbla, oblejmy go woskiem, a w skutek usuniętej mu dziurkowatości skóry, w krótce zakończy życie. Owóż para w łaźniach przedziwnie się przyczynia do odjęcia z powierzchni naszego ciała tego pokostu—tej skorupy dla oka niewidzialnej a jednak istniejącej w rzeczywistości. Przy użyciu jednak kąpieli parowej potrzeba zważać, aby ciało nie było narażonem na zbyteczne gorąco, które mogłoby szkodliwie wpływać na system mięśniowy. Umiarkowanie jest najlepszą zasadą w korzystaniu z tych środków higijenicznych.

Włosy są naszą ozdobą a zarazem zabezpieczają nas od zimna i wilgoci—dla zachowania ich należy starać się o to, aby zawsze miały pewien zasób tłuszczu. Włos aby był zdrowym, potrzebuje dopływu w odpowiedniej wielkości krwi do skóry głowę pokrywającej. Celowi temu odpowiada czyszczenie tejże skóry przynajmniej raz w tydzień.—Należy zatem wyczesywać łupież, i myć głowę wodą letnią z mydłem. Odchodzenie łupieża ułatwionem zostaje myjąc głowę wodą zmieszaną z okowitą biorąc $1/3$ część tejże na 1 część wody.

W skutek tej operacyi skórę drażniącej, krew silniej napływa do brodawki włosowej, a tem samem oddziaływa na tworzenie nowej tkanki sprzyjającej wzrostowi włosów.

Obok tego codziennie rano i wieczorem dobrze jest włosy przeczesać, w kierunku tak zwykłym jak i mu przeciwnym w tym celu używa się najpierw rzadkiego a potem gęstego grzebienia, a w końcu wyciera się je flanelą. Tłuszczu dostarczamy włosom używając do ich namaszczenia olejku migdałowego lub po prostu oliwy nierównie lepszej od wszelkich pomad.

Niekiedy u ludzi młodych włosy siwieją a nawet prędzej jak u starców—prawdopodobnie przyczyną tego jest dziedziczna skłonność do siwizny, chociaż kłopoty naszego powszedniego życia wiele się do tego przyczyniają.—Maryja Antonina osiwiała w ciągu jednej nocy. Nagłe zniknięcie barwnika włosów, jest następstwem wytworu we włosach bąbelków napełnionych powietrzem, które zakrywają właściwą barwę włosa.— W starości przeciwnie barwnik znika powolnie. Wypadanie włosów pochodzi z cząstkowego lub całkowitego niszczenia się torebek włosowych — przyczyn sprowadzających łysinę dotąd nieznamy, równie jak lekarstwa włos przywracającego. Wypadanie włosów w skutek ciężkich chorób powstaje w skutek tego, że ciało osłabione nie jest w stanie dostarczać im dostatecznego pokarmu.— Po ukończeniu choroby i włos wraca, gdyż torebki włosowe odzyskują utracone funkcyje.

Kołtun jest zlepieniem się włosów. Dotąd jeszcze utrzymuje się przesąd że kołtun w pewnych tylko odmianach księżyca może być zdejmowanym.— Liczne przecież doświadczenia okazały, że można go odłączyć w każdym czasie, bez żadnych złych skutków dla chorego.

Pielęgnowanie zębów niemniej powinno być naszem zadaniem. Do tego potrzeba nam tylko trzech rzeczy: szczoteczki, wody i proszku z węgla lipowego jaki w każdej sprzedaje się aptece. Oprócz proszku zalecamy dla kobiet płyny zawierające w sobie wyskok winny.

Miły Boże! środki to proste i łatwo zaopatrzeć się w nie można, a jednak ileż to mamy osób obu płci z zębami przy których bursztyn bielszym się wydaje. Jest to świadectwo nagannego ze strony naszej niedbalstwa. Psucie się zębów pochodzi z drobnych niewidzialnych gołem okiem zwierzątek i grzybów, które rozmnażają sie niesłychanie szybko w psujących się resztkach pokarmów uwięzłych między zębami. Wyskok winny powstrzymuje to psucie się, niepozwalając zarazem rozwijać się owym zwierzątkom i grzybom. Okowita zatem jest przedziwnem lekarstwem na próchnienie zębów. —Należy jednak osad winny po pewnym czasie delikatnie od zębów oddzielić, i zęby dobrze szczoteczką wytrzeć.

Pijąc po gorących zupach zimną wodę z lodami lub ulubione lody, grzeszymy najwyraźniej przeciw higijenie i dobrowolnie narażamy nasze zęby na psucie się.

Dzisiejsza dentystyka posiada wiele środków utrzymujących zęby w stanie pożądanym. Wyrywanie jest ostatecznością, a po większej części może być zastąpione plombowaniem które usuwa ból i zabezpiecza zęby sąsiednie.

Gdyby ludzie mieli staranie o zębach, nie czekając aż próchnieć zaczynają, nie byliby narażani na tyle cierpień wywoływanych jedynie ich niedbalstwem.

Z uwag jakie tu podaliśmy czytelnik może poweźmie większy szacunek dla higijeny, która jak troskliwa matka czuwa nad zdrowiem człowieka, i dopiero wówczas ustępuje miejsca medycynie, gdy z rad jej nie korzystano.

W rzeczy samej w największej liczbie przypadków, choroba przejawia się w skutek lekceważenia przepisów higijeny.

*Wicenty Niewiadomski.*

# ZA WOJENNYM ŚLADEM

## POWIEŚĆ

ZE STEPÓW AMERYKAŃSKICH

KAPITANA MEYNE REID'A

PRZEKŁAD Z ANGIELSKIEGO

**Leokadyi P....**

(Ciąg dalszy.)

## ROZDZIAŁ XXXIV.

**Ell Zorro.**

Powodem tych obaw była broń wielkiego kalibru dźwigana, przez jednego z ostatnio przybyłych jeźdźców — mianowicie przez znanego nam już „El-zorro.“

Spostrzegliśmy ją odrazu, z pozoru był to rodzaj ogromnego muszkietu używanego dosyć często przez strzelców ameryki południowej.

Dowiedzieliśmy się prędzej jakbyśmy tego pragnęli że broń ta niosła dwa albo i trzy razy dalej jak nasze karabiny i że obok tego biła bardzo celnie — co znowu pozwalało nam się domyślać iż nim słońce zajdzie „El-zorro“ ułatwi się z naszemi końmi a może i z nami samemi.

Do zachodu było jeszcze z pół godziny czasu, a on już bandyta rozpoczynał swoje dzieło.

Wnet rozległ się wystrzał, pierwsza kula uderzyła w ścianę skały obok mojej ręki i upadła mi pod nogi spłaszczona jak dollar hiszpański.

Wybuch silniejszym był od karabinowego, a wykrzyknik Ruba z jego zwykłem złowrogiem świśnięciem powiadomił nas że stary wyjadacz nie był w chęci żartowania sobie z tych iście artyleryjskich pocisków. Garej był tego samego zdania, jego wzrok zdradzał to cośmy wszyscy trzej myśleli, czyli że jesteśmy w gorszem daleko jak przedtem położeniu. El-zorro posprząta nas pospiesznie Z naszemi karabinami nie wiele przeciwko niemu zdziałamy, niebezpieczeństwo ogromne.

Strzał pierwszy wypuszczono zapewne nie celując nawet, ale nie ciągle tak być miało, zwłaszcza że zobaczyliśmy Iżurrę wbijającego w ziemię dwie lance na krzyż by uformować podstawę do oparcia piekielnego narzędzia.

Zaledwie broń została na nowo nabitą, El-zorro stanął przy lancach, przyklęknął na jedno kolano, ułożył lufę na zaimprowizowanym koźle i począł mierzyć po raz drugi.

Uczułem rodzaj niekoniecznej satysfakcyi gdym spostrzegł że łotr mnie czy mojego konia wziął sobie na oko, a poznałem to z kierunku w jakim broń opierał a nadto i z tego jeszcze że Iżurra pomagał mu w tej pracy.

Nie wiele obawiałem się o siebie bo byłem dostatecznie osłonięty ale drżałem o Mora który stanowił żywy mój puklerz.

Czekałem ze ściśnionem sercem, aż tu zobaczyłem czerwony płomień i posłyszałem huk a jednocześnie uderzenie kuli w mojego konia.

Kawałki drzewa uderzyły mnie w twarz. Były to szczątki siodła — Kula zdruzgotała kulbakę ale nie tknęła szlachetnego zwierzęcia. Bądź co bądź był to celny strzał karabinowy i nie mogliśmy się cieszyć przypuszczając że i następne będą doń podobne.

Czułem się tak samo zagrożonym jak Rube: gdy nagły okrzyk jakiś odwrócił moję uwagę od karabina El-zorra.

Rube stał po prawej odemnie stronie, i pokazywał na dole skały jakiś przedmiot którego nie mogłem jednak rozpoznać, bo przeszkadzały mi konie.

Zauważył to stary strzelec, odsunął je trochę dalej dając nam z Garejem znak ażeby iść za nim.

Nie tracąc czasu pospieszyliśmy na wezwanie, a gdy zaledwie ze dwanaście zrobiliśmy kroków przyczyna dziwnego zachowania się Ruba okazała się wytłomaczoną.

O jakie dwadzieścia metrów od miejsca w którem zatrzymaliśmy się byli pierwotnie, duży odłamek skały leżał na stepie, a po za nim była przestrzeń tak duża iż najwygodniej

i najbezpieczniej i my i nasze konie ukryć się mogły.

Nie tracąc ani chwili czasu prześliznęliśmy się tam tedy ku prawdziwej a ogólnej radości naszej.

Okrzyk wściekłego podziwu rozległ się za to w szeregach nieprzyjacielskich. Poznali rabusie odrazu że ich zbójecka rusznica nie zda im się teraz na wiele, to też Iżurra i jego artylerzysta kręcili się jak potępieńcy. Zręczność El-zorry okazała się bezużyteczną.

Nie można już było chyba wynaleść na całym stepie skuteczniejszego schronienia. Byliśmy jakby w fortecy z której mogliśmy stawić skuteczny opór choćby potrójnej liczbie oblegających, byleby kanalije nie wzięli nareszcie i od razu na odwagę i nie natarli na nas z bliska.

Nasze zniknienie zrobiło na nich głębokie wrażenie — z ich wrzasków osądziliśmy że doszli do wściekłości. Rzeczywiście z tych stanowisk jakie zajmowali w tej chwili mogli sobie wyobrażać chyba żesmy weszli we wnętrze skały, bo dojrzeć co się znajdowało pomiędzy ścianą skały a jej odłamem leżącym na ziemi, żadną miarą nie byli w stanie.

Jeżeli znali to miejsce można by się bardzo dziwić że nam doń zostawili drogę swobodną.

Ta nieoględność nie zgadzała się z przebiegłością jakiej dali dowody, a jednak czy podobna przypuścić żeby niewiedzieli o niczem?.. Większość ich była tutejsza i musiała często odwiedzać skałę która się do osobliwości liczyła. Ta skała była ulubionem miejscem Komanszów, którzy miłowali się w malowniczości położenia, tutaj najczęściej rozkładali się oni obozem.

To też okolica o której mówimy, znaną była oddawna jako miejscowość niebezpieczna a najciekawsi nawet bardzo się rzadko tutaj zapuszczali.

Prawdopodobnie ani jeden z Meksykańczyków których mieliśmy pod sobą od wielu lat nie zaawanturował się tak daleko na bezludnym stepie.

## ROZDZIAŁ XXXV.

### Plan ucieczki.

Jeżeli nasi nieprzyjaciele byli zdziwieni naszem nagłem zniknięciem, trzeba przyznać że to trwało bardzo niedługo. Nasze twarze i lufy karabinów naszych które im się ukazały z po za brzegów skały, objaśniły że nie było w tem wszystkiem żadnej nadzwyczajności.

Ustawiwszy konie, stanęliśmy w pozycyi obronnej, na wypadek gdyby znowu do nas strzelali, chociaż nie potrzebowaliśmy się już bardzo ich obawiać, mogąc zwłaszcza śledzić uważnie wszystkie poruszenia nieprzyjaciela, a głównie owego łotra El-zorro. Grzmił on jeszcze czas jakiś ze swojej olbrzymiej rusznicy, ale łatwo się nam było chronić od postrzałów, i kule padały nie zządzając żadnej szkody.

Widząc to łotr przeklęty, zawiesił swoję tyralijerkę i z jednym z towarzyszy popędził w stronę wioski. Iżurra wysłał go widocznie z jakimś poleceniem.

Jednej pary dobrych oczu dosyć było do śledzenia ruchów nieprzyjacielskich, więc Garej przyjął na siebie ten obowiązek — zleciwszy mnie i Rubowi obmyślenie jakiegoś planu ucieczki.

Nie będą nas atakować, więc są dwa do wyboru środki. Albo siedzieć i czekać dopóki głód i pragnienie nie zmusi do poddania się, albo rzucić się mężnie na wroga i śmiało utorować sobie drogi pomiędzy jego linijami.

Co do pierwszego, pragnienie tylko zmusić nas może do kapitulacyi, bo głodu nie potrzebowaliśmy się tak rychło obawiać mając z sobą myśliwskie noże. Wszyscyśmy probowali już byli befsztyku z końskiego mięsa, moglibyśmy go więc jeszcze sprobować, ale inna rzecz pragnienie. Manierki były próżne już od kilku godzin, zdążaliśmy właśnie do źródła przy mesa najkrótszą drogą gdy spostrzegliśmy nieprzyjaciela. Już nam się w tedy dobrze pić chciało, a wzruszenie wywołane tą niespodzianką powiększyło pragnienie, do tego stopnia iż obecnie dokuczało ono nam silnie, i bardziej nam o wodę jak o nieprzyjaciela chodziło.

Drugim środkiem był rozpaczliwy atak na przebój, rozpaczliwy bo nieprzyjaciel znacznie nas przewyższał liczbą, utorować sobie drogę przebojem to bić się z każdym rabusiem po kolei, i żałowaliśmy bardzo żeśmy tego nie zrobili wtedy gdy ich tylko było jedenastu.

Chwila namysłu przekonała nas wreszcie że nasze położenie lepsze było nieco jak się nam wydawało. Ciemności nocne jakie się roztoczyły polepszyły oto naszę dolę.

Jeżeli zdołamy silnem natarciem otworzyć sobie drogę wpośród rozciągniętej linii nieprzyjacielskiej zdołamy może umknąć pod łaskawą osłoną nocy, dzięki zamieszaniu jakieby stąd powstać mogło.

Projekt nie był nieprawdopodobnym. Śmiałe zuchwałe uderzenie było najwłaściwszem. Jednemu z nas groziła zguba, ale jedyna to znowu nadzieja wycofania się z matni bo poddać się to pozwolić się rozstrzelać albo wziąść na tortury.

Co do nadziei jakiejś pomocy na to liczyć prawie było nie można. Domyślałem się co prawda że moi przyjaciele, że szeregowcy moi musieli mnie poszukiwać bo ani Wheatblej ani Holingsworth nie chcieliby mnie opuścić, ale czy mnie wynajdą trudno liczyć na takie szczęście.

Naradzaliśmy się z Rubem, rozbieraliśmy wszystkie ewentualności po czem zamyśleliśmy się głęboko.

Muszę przyznać że obecnie bardziej byłem jak kiedykolwiek zdręczony.

W chwili w której poznałem dowódcę gerylasów byłem za zbyt wzruszony aby myśleć o czem innem jak o własnej obronie.

Ale teraz po chwili chłodniejszej rozwagi okrutne położenie ujrzałem w całej jego grozie.

Rozum nie był już w stanie zapanować nad zranionem sercem.

Było spokojnie—zacząłem więc rozbierać prawdopodobieństwo moich domysłów.

Jaki powód mogła mieć Isolina de Vargas nastając na moję zgubę?..

Z pewnością nie patryjotyzm, ani nie nienawiść do nieprzyjaciół swojej ojczyzny. Z tego wszystkiego com słyszał od niej nie mogłem tego przypuszczać, Isolina była kobietą inteligentną i samodzielną, i miałem prawo sądzić że sprzyjała ona naszej sprawie, że była nieprzychylną dla tyranów Meksyku których my chcieliśmy poskromić. Jeżeli stało się inaczej, padłem ofiarą głębokiej obłudy, hipokryzyi nieporównanej.

Mogło z resztą być to uczucie osobiste a nie narodowe.

Nie mogłem odgadnąć przyczyny, wpadłem więc na domysł że to silne przywiązanie do Iżurry zdecydowało ją do usadowienia się na moję zgubę.

Ten nędznik korzystając z jej przywiązania łatwo ją do swoich planów nakłonił. A sam osobiście miał dosyć przyczyn by mnie nienawidzieć. Zniewaga jakiej doznał w czasie pierwszego naszego spotkania, pewność że kocham Isolinę bo i o tem wiedział dobrze, mój charakter jako najezdzcy jego kraju, oto przyczyny aż nadto dostateczne, chociaż bez żadnej wątpliwości dwie pierwsze dla takiego jak Rafael Iżurra wyrzutka więcej jak trzecia znaczyły.

Zemsta i zazdrość były namiętnościami daleko silniejszemi jak uczucie przywiązania do ojczyzny, bo czyż łotr podobny był zdolnym i godnym takiego świętego uczucia?..

Pocieszałem się jak mogłem ale nie mogłem się przekonać jakoś...

Ależ znowu tu przed mojemi oczami stoi oto pyszne stworzenie, stoi biały rumak stepowy. W tem przynajmniej nie ma żadnego złudzenia, nie, to nie podstęp powodem tego wydarzenia.

Iżurra mógł się dowiedzieć o celu mojej wyprawy, choć mu nic o tem Isolina nie mówiła, o skutku powiedzieli mu powracający pasterze. Czasu miał dosyć do zebrania bandy i puszczenia się za mną w pogoń. Isolina prawdopodobnie nie wiedziała że on jest przywódcą gerylasów. Słyszałem o sekretnych sprawkach tego nędznego wyrzutka.

Czyż Isolina nie mogła nie znać smutnej osobistości swojego krewniaka?..

Odczytałem jej bilecik, rozważyłem każde jego słowo, ale nie mogłem dopatrzyć żadnego śladu zdrady.

Nie... Isolina była uczciwa — Isolina nie umie być nieszczerą.

## ROZDZIAŁ XXXVI.

### Elijasz Quackenboss.

Kiedy wszystkie te myśli przesuwały mi się po głowie stałem oparty o ów odłam o którym wspominałem, z twarzą zwróconą do ściany skały.

Tuż naprzeciwko mnie, na powierzchni znajdowała się szczelina poszerzająca się w miarę jak dochodziła ku wierzchołkowi. Był to rodzaj lekkiego wydrążenia, powstały widocznie od spływającej wody i służący za rynnę deszczową.

Chociaż ściany były doskonale prostopadłe, kanał przedstawiał pochyłość względnie dosyć

znaczną, przyszło mi więc do głowy że w tem miejscu wdrapanie się na szczyt wyniosłości nie byłoby niepodobnem.

Do tej chwili nie myślałem o tem, wierzyłem zapewnieniu moich towarzyszów, że wierzchołek mesa był najzupełniej niedostępnym.

Przypatrując mu się jednak obecnie dochodziłem do przekonania że nie jest tak jak się im wydawało. Na skale widniały nie wielkie szczerby które jako tako mogły posłużyć za stopnie a gdzie nie gdzie pięły się małe krzaki cedrowe któremi można się było posługiwać, także nienajgorzej.

Zwróciły też uwagę moję i pewne ślady które zdawały się dosyć świeże. Gdy się im lepiej przyjrzałem przekonałem się że były to znaki po podeszwach ciężkiego obuwia. A więc był już ktoś kto się dostał na szczyt skały.

Postanowiłem przedewszystkiem wynik badań moich przedstawić towarzyszom moim, ale zatrzymałem się jeszcze chwilę ażeby się lepiej przekonać czy ten ktoś kto probował wyprawy dokonał jej z dobrym skutkiem.

Było szaro ale zdołałem jeszcze sprawdzić że udało mu się to w zupełności.

Jakieś dalekie wspomnienia obudziły się w tej chwili we mnie, później rozjaśniły się jeszcze nieco, i na koniec byłem gotów odpowiedzieć na pytania jakie mi się nasuwały obecnie.

Ja znam tego kto wykonał tę trudną podróż, no, że też wcześniej nie przyszło mi to do głowy...

Pomiędzy przerozmaitemi osobistościami jakie służyły w oddziale któremu przewodniczyłem, był człowiek oryginał nazwiskiem Elijasz Quackenboss. Był to mieszaniec pół jankes, pół niemiec rodem nie wiem już z której części gór Pensylwanii. W ojczyznie swojej zajmował się nauczycielstwem, miał też i wiadomości dosyć, ale co mnie w nim uderzyło szczególnie to że znał się dobrze na botanice a głównie na kwiatach i polnych i leśnych, a poświęcał się tej nauce z takim zamiłowaniem że nie ustępował samemu chyba Lineuszowi.

Była to szczególność bo amerykanie w ogóle nie wiele się zajmują naukami przyrodzonemi.

Jeżeli jednak ten mój rycerz oryginalnym był pod względem moralnym, nie można było nie powiedzieć tego samego i o stronie jego fizycznej. Wysoki, przygarbiony, chudy a w dodatku ani jeden z jego członków nieodpowiadał drugiemu. Ręka jedna chudsza druga tęższa i dłuższa, jedna noga przekrzywiona trochę na prawo, druga znowu na lewo, na jedno oko prawie nie widział, za to prawem mógł Elijasz Quakenboss tak dobrze celować iż pod zakład trafiał w gwóźdź o sto kroków.

Dzięki dziwnym przyzwyczajeniom i nałogom współtowarzysze mieli go za niespełna zmysłów, a szczególniej utwierdzało ich w tem przekonaniu owo zamiłowanie do botaniki, owo poszukiwanie ziół i kwiatów co uważali za wierutny nonsens. Wiedzieli mimo to jednak że „Czworograniasta głowa" bo tak go przezywano mógł by zająć miejsce Wilchelma Tella i że pomimo wszystkich dziwactw swoich i zamiłowania spokojności umiał być w razie potrzeby prawdziwie walecznym. To przekonanie chroniło go od śmieszności którą inaczej z pewnością by go okryto.

Nigdy bo i ja co prawda nie widziałem bardziej zapalonego botanika. Mało go obchodziło czy się zmordował ćwiczeniami wojskowemi lub innem jakiem zajęciem, i jak tylko miał wolną chwilę szedł wyszukiwać rzadkich roślin zapędzając się w wycieczkach daleko nieraz po za obóz i narażając się czasami na nadzwyczaj niebezpieczne przygody.

Przypominam sobie że mówił mi był właśnie o cennem jakiemś odkryciu które zrobił kilka dni przedtem na szczycie pagórka, na który się wdrapał w celu zbadania roślinności.

Ten pagórek to właśnie mesa, tak to Elijasz Quackenboss dostał się na jej wierzchołek.

No kiedyż ten egzemplarz niezgrabny zdołał się dostać na wysokość któż nam zabroni sprobować tego samego.

I rozmyślając nad korzyścią jaką moglibyśmy z tego powodu osiągnąć, zawiadomiłem o tem Ruba i Gareja.

Obadwaj zdawali się uradowani, po krótkiem rozpatrzeniu uznali że przejście możliwe, Garej oświadczył że czuje się na siłach a Rube odpowiedział swoim zwykłym kwiecistym stylem że mu zawiasy nie pordzewiały i że przed miesiącem wdrapał się na daleko spadzistrzą górę.

Co jednak pytałem sam siebie co jednak nam przyjdzie z tego że się w drapiemy na górę. Nie możemy tamtędy uciec, nie możemy rachować na możnośc zejścia od strony przeciwnej, na którą dostanie się było bezwarunkowo niemożebne.

Co prawda bylibyśmy tam doskonale zabezpieczeni od ataku gerylasów, ale nigdy nie od pragnienia które teraz było najgroźniejszym naszym nieprzyjacielem. Na szczycie skały nie znajdziemy przecież wody.

Nasze położenie nic nie zyszcze na zmianie miejsca, owszem, — pogorszy się raczej.

Takie też było i Gareja zdanie.

Tu gdzie teraz jesteśmy możemy mieć konie przy sobie, jeden z nich może być użytym na zaspokojenie głodu, inne do pomocy w ucieczce.

Jeżeli dostaniemy się na wierzchołek trzeba będzie zostawić je zdala od siebie. Z wierzchołka do linii nieprzyjacielskiej nie było więcej jak pięćdziesiąt jakie kroków, nasze więc karabiny bronić mogły nas i nasze zwierzęta, od pokuszeń strony przeciwnej, ale co to wszystko znaczy w obec pragnienia i głodu?..

Słodkie nadzieje równie się prędko rozwiały jak zabłysły.

Rube nie wypowiedział jeszcze zdania swojego stał ściskając oburęcz lufę swojej długiej starej strzelby — a z oczów widać mu było że debatuje nad jakąś doniosłej uwagi kwestyją. Zachowywaliśmy się z Billem spokojnie aby mu nie przerwać myśli.

## ROZDZIAŁ XXXVII.

### Plan Ruba.

Podczas kilku jeszcze minut Rube zachowywał statecznie swoję poprzednią zafrasowaną postawę, nie mówił ani słowa nie poruszał się z miejsca aż nakoniec posłyszeliśmy świśnięcie przytłumione ale wesołe jakie mu się z ust wydobyło, i zaraz potem stary strzelec wyprostował się hardo.

— A co nam powiesz staruchu odezwał się Garej który się domyślił że świśnięcie oznajmiało jakieś odkrycie!

— Jaka jest długość twojego rzemiennego pasa mój chłopcze, odpowiedział Rube pytająco.

— Trzydzieści stóp dobrej miary odrzekł na to Garej.

— A twoja kochany dzieciuchu?...

— Toż samo prawie może o jednę dwie stopy dłuższy.

— Dobrze zawyrokował tajemniczo trochę stary ale z widocznem ukontentowaniem, dobrze wyłapiemy my tych hultajów to już ja wam za to ręcze.

— Brawo Rube zwąchałeś widzę jakiś dowcipny plan nieprawda? — zapytał z kolei Garej.

— Tak mi się przynajmniej zdaje.

— No to gadajże co tchu safanduło zawołał Garej, widząc że Rube na nowo pogrąża się w zadumę nie mamy zadużo czasu myśleć o rzeczach które...

— Czekajno Billu do stu tysięcy dyjabłów — toć do nie cierpliwości, nic nas gwałtownie nie zmusza. Przywiąże najpierw moję klacz do czarnego konia kapitana, a potem tamte łotry o wschodzie słońca niech nas szukają aż do spotakania się na dolinie Józefata. Toż te szelmy będą ryczyć i wyklinać, gdy znajdą tę lisię jamę najzupełniej pustę.

I stary strzelec śmiał się przez kilka sekund z taką dobrodusznością jak gdyby wróg znajdował się o jakie sto mil za nami.

Garej i ja gryźliśmy wargi z niecierpliwości ale widząc że Rube był w jednym ze swoich dziwnych ataków, dobrego humoru i że na nic się wszystko nie przyda, musieliśmy czekać spokojnie dopóki się nieuspokoi.

Kiedy go atak wreszcie ominął, przybrał znowu poważną postawę, zaczął coś obliczać bo słyszeliśmy jak mruczał niewyraźnie pod nosem:

— Dwadzieścia stóp Billa, dwadzieścia tego drugiego młokosa to nam daje razem czterdzieści a dodać moje dwadzieścia i sześć to będzie razem sześćdziesiąt sześć jak obszył. No trzeba coś z tego na węzły także odliczyć, ale za to przyjdą uzdy końskie na pomoc. Jest sznurów więcej jak potrzeba, więc pozostanie dosyć na powieszenie z jakich pół tuzina tych rozbójników jeżeli mi się w łapy dostaną.

— A no dla czegóż by nie?...

Podczas tych kombinacyj arytmetycznych Rube, zamiast wpatrywać się jak przedtem w lufę karabina, zaczął mierzyć oczami skalistą ścianę góry.

Zanim skończył badania odgadliśmy jego plany, ale nie odezwaliśmy się z tem broń Boże, bo uprzedzić starego w odkryciu jego projektu, znaczyło to wyrządzić mu śmiertelną zniewagę. Czekaliśmy póki nam sam planu swego nie wypowie.

— Otóż dzieci krzyknął nakoniec, otóż uważacie jak my się stąd wydostaniemy. Naprzód wdrapiemy się na górę — jak się zrobi

zupełnie ciemno, powtóre weźmiemy pasy ze sobą, po trzecie powiążemy je wszystkie razem a jeżeli nie będą dosyć długie, uzdami je nadsztukujemy, po czwarte, przywiążemy końce rzemienia do pnia jakiego drzewa albo do szczytu skały, i jazda na drugą stronę. Uważacie... Po piąte, raz dostawszy się na stepy drapniemy prosto ku zabudowaniom osady, nakoniec po szóste i ostatnie, jak tylko tam przybędziemy zabierzemy z kilkunastu szeregowców małego i lotem ptaka powrócimy tutaj znowu, aby wytrzepać skórę tym dyjabłom, jak im się nigdy jeszcze nie przytrafiło na świecie... A teraz...

A teraz... miało znaczyć—co myślicie o moim planie?..

Bill i ja oddawna zatwierdziliśmy ten pomysł to też bez straty czasu wyraziliśmy nasze zadowolenie zupełne.

I rzeczywiście po tym koncepcie można się było spodziewać dużo. Jeżeli uda nam się wykonać go, nie zwróciwszy na się uwagi, za kilka godzin będziemy napewne na placu wioski i ugasimy nasze pragnienie przy kryształowem źródle.

Przewidywanie tej szczęśliwej chwili dodało nam energii zabraliśmy się więc niezwłocznie do przygotowań.

Jeden zawsze czuwał, dwaj inni byli zajęci.

Powiązaliśmy ze sobą arkany a cztery konie przywiązaliśmy jeden do drugiego za uzdy w ten sposób, żeby się trzymały spokojnie po za wiadomym odłamem skały.

Ukończywszy te prace przygotowawcze czekaliśmy aż noc zapadnie. Wkrótce na nasze szczęście ogromne ołowiane chmury gęsto pokryły niebo, domyśleliśmy się zatem, że napewno księżyc nie ukaże się przed północą.

Rube który twierdził że się zna na zmianach powietrza niby prawdziwy marynarz, zaczął się rozglądać po niebieskiem sklepieniu.

— A co stary milczycie? szepnął Garej, jakże myślisz czy będzie dosyć ciemno, co.

— Jak w kominie odpowiedział Rube i zaraz jakby nie koniecznie kontent z tego porównania, dodał jak w bawolim brzuchu, podczas pożaru na stepie.

Kontent z dowcipu zaczął się też śmiać zeń z całego serca, a my z Billem nie mogliśmy się powstrzymać, żeby mu nie zawtorować od ucha do ucha.

Gerylasy musieli nas napewno słyszeć i napewno myśleli żeśmy potracili głowy.

Przepowiednie Ruba sprawdziły się niebawem. Noc ciemna była jak nigdy. Ołowiana chmura rozpłynęła się na mnóstwo małych czarnych chmurek przebiegających zwolna po niebie. Czuć było burzę w powietrzu, jakoż usłyszeliśmy niezadługo grzmot, a potem duże krople deszczu poczęły spadać nam na głowy.

Cieszyło nas to niezmiernie, ale nagle ogromna błyskawica oświetliła step, tysiącem niby pochodni. Nie było to owo światło blade i odrazu niknące jakto bywa w klimacie północnym, była to jasność tak silna że prawie ze światłem dziennem mogła iść o lepsze. Ta niespodzianka nabawiła nas strachu, nielada to przeszkoda do spełnienia planu.

— Bodajże cię najjaśniejszy dyjabeł porwał utrapiona błyskawico, zawołał Rube rozwścieczony, a toż to bestyjstwo sto razy gorsze od księżyca. Bodajcie sto tysięcy...

Jeszcze nie skończył swej klątwy gdy błysnęło po raz drugi i step został uliminowany jak scena podczas najuroczystszego przedstawienia. Zobaczyliśmy kordon gerylasów, rozpoznaliśmy broń, ubranie a nawet guziki przy kaftanach, stały szelmy jak potępieńcy jak piekielne widma.

Ale pomimo ogromnej błyskawicy nie było już obecnie słychać żadnego grzmotu. Cicho owszem było jakby makiem zasiał, a cisza ta dodawała obrazowi, jakiejś przerażającej grozy.

Doskonale, mruczał Rube zobaczywszy że oblegający nas zachowują swoje stanowiska. Wsuniemy my się na górę pomiędzy jedną błyskawicą a drugą, a tymczasem niech szelmy widzą że ciągle tutaj jesteśmy.

Więc wysunęliśmy nasze głowy i karabiny i w tej pozycyi czekaliśmy na nową błyskawicę.

Niedługo przyszło czekać i świetna jak i pierwsza ukazała się jasność, nieprzyjaciel musiał nas dostrzedz koniecznie.

Stosownie do planu ułożonego naprzód, Garej miał pójść pierwszy i zabrać ze sobą linę. Czekał więc tylko, jednym końcem arkanu obwiązany w pasie, aż światłość przeminie.

Kiedy nadeszła nowa błyskawica Garej był zupełnie gotów, i jak tylko zapadły ciemności począł się wdrapywać po skale.

d. c. n.

---

## BIBLIJOTECZKA DOMOWA.

*Arria, Tragedyja w trzech aktach wierszem przez Józefa Kościelskiego. Kraków 1874 r. str. 100 in 8-o cena kop. 67 i pół.*

Poeta kreśli nam obrazy na zbrudzonym tle życia rzymskiego, przenosząc się myślą w owe czasy, kiedy bohaterski duch Romy upadł w cuchnącą kałużę moralnego zepsucia, i nad głową despotów zagrzmiał okrzyk podłego tłumu: *„panem et circenses!“* Rzecz się dzieje za czasów *Klaudyjusza* (41—54 p. Chr.) Był to monarcha słaby, dający się łatwo powodować ulubieńcom swoim, a szczególniej żonie swej *Mesalinie*. Rozpustnica ta sprzedawała urzędy, skazywała na śmierć najznakomitszych obywateli i w ogóle w smutny sposób gospodarowała w kraju, każąc wszystko trądem moralnej nicości.

Na tle tak brudnego życia pobudza autor do czynu kilka postaci, które w imię ludu wołając o prawo wolności, starają się podnieść sztandar buntu, przeciwko naciskowi despotycznej władzy. Lecz naród, w imię którego walczyć pragną, nie zdolny jest zrozumieć i poprzeć ich usiłowań. Jest to pies, liżący stopy swego pana, domagając się jedynie rzuconego mu z litości kawałka chleba.

Któż jest głównym bohaterem na arenie walki i czynu? Czy *postać tytułowa?* Bynajmniej! W ciągu akcyi nie stoi ona na pierwszym planie i ginie często w tłumie innych postaci. Zresztą nie widzimy w niej żadnych rysów, nadających prawo pierwszeństwa. Wzniosła cnota rzymska oto główny jej przymiot, uczucie zazdrości—to stan jej dramatyczny. Cóż działa pod wpływem tych motorów wewnętrznych? Ten fakt, że mimowoli staje się przyczyną odkrycia spisku męża, nie stawia jej bynajmniej na piedestale bohaterki tragicznej. Przy końcu tylko, kiedy pragnie poświęcić swą miłość dla wybawienia małżonka, a później skłania go do bohaterskiej śmierci i sama ginie z nim razem, rozpromienia się nieco ta blado skreślona postać. Wszystko to jednakże nie nadaje jej miana głównej bohaterki. Nie skupia ona bowiem w sobie przewodniej idei, nie stanowi głównej osi, koło której cała akcyja by się obracała.

Któż więc zajmuje to stanowisko? Doprawdy trudno dać w tym względzie jakąkolwiek odpowiedź. Wogóle w całej tragedyi nie ma nietylko postaci, któraby skupiała w sobie główne promienie akcyi, lecz niema nawet żadnego drugorzędnego, prawdziwie tragicznego typu. Czymże jest *Petus* np. Cóż zdziałał ten bohaterski zwiastun idei wolności? Jakąż aureolą tragicznego czynu uwieńczył swe skronie, jaka potężna walka zawrzała w jego łonie? Wypowiedział wiele pięknych frazesów, uknuł spisek, wydało się, padł ofiarą przemocy, i na tym koniec. Wogóle typ to bardziej bierny i nie zabłysnął potężnie na arenie czynu.

Więcej nieco tragicznego zakroju ma w sobie postać *Mesaliny*. Ona to wraz z wyzwoleńcem Afranusem, stanowi główną sprężynę akcyi. W łonie tej rozpustnicy wre ogień namiętnych uczuć, pod wpływem których działalność swą rozwija. Typ to jednakże nie wykończony i ze względu na stosunek charakteru swego do przewodniej idei utworu nie może stanowić głównej postaci tragicznej.

O drugich postaciach niema co i wspominać. Typ *Skrybonianusa*, ambitnego karyjerowicza na arenie politycznej, który dumne zamiary swe pokrywa sztanderem wzniosłej idei, a w głębi serca żywi nadzieje panowania równie despotycznego, jak to, które obalić pragnie—zaledwie kilku rysami skreślony i w sferze czynu żadnego niepozostawił śladu.

Dalej występują dwie postacie, które autor niesłusznie do świętej powołuje sprawy. Jedna z nich (*hetera Leena)*, świetnemi wprawdzie zabłysła barwami, lecz moralny jej upadek, pozbawia ją prawa do wzniosłego posłannictwa idei społecznej. Czyż autor nie mógł jej na inne bardziej godne złożyć barki? Czyż koniecznie trzeba mieszać jasne światło cnoty z ponurym blaskiem zepsucia, nie rozświeciwszy nawet należycie ciemnych jego promieni?

Bardziej jeszcze nie na swojem miejscu jest tu postać *Egnatiusa* niskiego cynika i żarłoka. Niepodobna zrozumieć pobudek, jakie zmusiły go do opuszczenia obfitego stołu monarchy dla niepewnej przyszłości. Jest to zresztą typ skarykaturowany.

Udatnie dosyć skreśloną postacią jest *Afranus*, ambitny wyzwoleniec, który pragnie ciemnemi drogami, zdobyć wszelkie rozkosze życia.

Reasumując wszystko, cośmy wyżej powiedzieli widzimy, że utwór p. K. pozbawiony jest głównej podstawy, na której opierać się powinien, a mianowicie tragiczności. Żadna postać nie występuje potężnie na arenie czynu i nie drży siłą tytanicznej walki. Zbyt przy-

tym rozwielmożniona erotyczna sfera tamuje główny tragiczny prąd akcyi. Z wadą tą łączy się zarazem i brak artystycznej jednolitości i skupienia całości utworu około jednej górującej nad innemi myśli. Utwór p. K. to ładny bardzo utwór poetyczny, pełen piękności rymowanych tonów, potężnych nawet niekiedy dźwięków podniosłej muzy, lecz do miana tragedyi żadnego nie może przypisywać sobie prawa.

*Upominek dla Adasia, napisał Władysław Ostrowski. Lwów. Nakładem księgarni Gubrynowicza i Schmidta. 1875 r. str. 67 in 16-o cena kop. 50.*

Jest to zbiór rymowanych i nierymowanych utworów dla dziecięcego wieku przeznaczonych. W udatnych dosyć wierszykach w żywej, zręcznej i przystępnej dla młodocianego umysłu formie maluje autor obrazki na tle życia dziecięcego osnute. Często jednakże nie umie dobierać sytuacyj, któreby same przez się jasno przemawiały do umysłu, niosąc mu ziarno pożytecznej nauki, lub ciepło uczuć szlachetnych. Zwykle w końcu dopiero występuje sens moralny, przyobleczony niekiedy w formę nudnego ogólnika. Niektóre nawet ustępy przepełnione są całkowicie nudnem moralizowaniem. Spotykamy też gdzieniegdzie paradoksy, których dziecko żadną miarą zrozumieć nie może. Szczególniej rażącym w tym względzie jest końcowy wierszyk, zatytułowany greckiemi literami „alfai omega" w których ma być zamknięta cała wielkość Stwórcy.

W wierszyku „Pierwsze oczko w świat" autor zbyt widocznie naśladuje „Wiochnę" Lenartowicza, trawestując jej treść stosownie do potrzeb wieku dziecięcego. Szczególniej widocznem jest naśladownictwo w formie. Mimo tych usterek całość jest dosyć sympatyczną. Lekka i udatna forma rymowana upiększa treść wierszowanych utworów.

Prócz wierszyków zbiorek ten zawiera w sobie kilka powiastek prozą. Dwie z nich czerpią treść z podań biblijnych o Józefie i Mojżeszu. Pierwsza tylko może mieć pewne znaczenie dla umysłu dziecięcego. Powiastka z życia astronoma z prawdziwego zdarzenia zaczerpnięta, nacechowana zacną myślą, zbyt szkicowo jednakże jest obrobiona. Ostatni wreszcie ustęp, p. t. „Pamiętajcie o ptaszku" grzeszy zupełnym brakiem formy obrazowej, niezbędnej w tego rodzaju utworach.

Zewnętrzna forma wydania jest bardzo staranną. Piękny papier, ozdobna okładka i dwie niezłe ryciny tworzą ponętną sukienkę tego płodu literackiego.

*Obrazki z historyi Kolosseum Rzymskiego, z angielskiego Ks. O'reilly. Warszawa 1875 r. str. 564 in 8-o.*

Autor kreśli dzieje największej i najciekawszej z ruin starego Rzymu, świadka tylu ponurych dziejów zamarłej ludzkości. Jest to dumnie sterczący pomnik, który zachwyconej duszy wędrowca wiele krwawych przypomina epizodów. Ponury odgłos gwałtów i okrucieństw dziejów pogańskich łączy się tu harmonijną nutą z jękiem męczeńskich ofiar chrześcijaństwa. To ostatnie zajmuje głównie autora. Skreśliwszy w kilku zaledwie ogólnych rysach początek i pierwsze dzieje Kalosseum zabawy i widowiska ludu rzymskiego, jakie się tam odbywały, przechodzi następnie do dziejów prześladowania chrześcijan i kreśli kolejno losy wielu męczenników. Ku końcowi wreszcie przedstawia historyją tego zabytku w wiekach średnich i późniejsze zdarzenia. Rzecz to traktowana wyłącznie prawie ze stanowiska teologicznego.

*A. Pilecki.*

Książki powyższe nabyć można w księgarni A. Kowalskiego. Ulica Nowy Świat Nr. 39.

## ŚLADY ŻYCIA.

### XIII.

Tyle życia, ile... w c z y n i e.

Kuryjer Codzienny wraz z początkiem wiosny przywdział nową szatę i trzeba przyznać że wniej przyzwoiciej wygląda. Dawne zbite i niewyraźne czcionki zastąpiono nowemi i mamy nadzieję iż tym sposobem pismo to, dla oka przynajmniej, zyska na poczytności. Wspomniawszy o Kuryjerze Codziennym musimy zaznaczyć jeden z artykułów jego p. t. „Co się robi z Towarzystwem *Pośrednik?*" W istocie kwestyja to ważna i ogół obchodząca, chodzi w niej bowiem o zadosyć uczynienie powszechnie w znanej potrzebie rozszerzenia handlu ze Wschodem przez pośredniczenie w wymianie produktów naszego i zachodniego przemysłu. Ustawa nie znalazła przeszkody ze strony Rządu—znalazło się już przed dwoma laty 23 założycieli tymczasem dotąd o konstytuowaniu się rzeczonego Towarzystwa ani słychać. Że jeden z pierwszorzędnych tutejszych bankierów odmówił pomocy—to nie racyja, bo jak słusznie zauważył autor artykułu, można to samo zrobić przy pomocy zjednoczonych kapitałów średnich. Wszakże od tego właśnie są stowarzyszenia żeby zastępowały działalność jednostek. Dołączamy więc nasz głos w tej sprawie zapytując Szanownych założycieli co myślą zrobić z *Pośrednikiem?*

Szereg odczytów dla Towarzystwa Osad Rolnych—już zamknięty z przyczyny różnych przeszkód przyniósł tej instytucyi 2000 rs. dochodu. Sumka to spora; panom prelegentom a wszczególności paniom prelegentkom które same przysporzyły funduszom Towarzystwa tysiąc paręset rubli—należy się szczera wdzięczność, tak ze strony zakładu jak i ogółu publiczności.

Gazeta Kielecka pomieściła w oddzielnym dodatku obszerne sprawozdanie komitetu rady gospodarskiej Kieleckiego Towarzystwa Dobroczynności za rok 1874. Młoda ta, bo rok dopiero życia licząca instytucyja znajduje się już w całej pełni swego rozwoju. Celem jej jest, jak głosi pierwszy paragraf ustawy niesienie ulgi zubożałym miejscowym mieszkańcom bez różnicy wyznań, współdziałanie do zupełnego wytępienia żebractwa i założenie domu roboczego. Członkowie towarzystwa dzielą się na rzeczywistych, obowiązanych wnosić do kasy nie mniej jak rs. 6. i na ofiarodawców, opłacających nie mniej jak 3 ruble rocznie.

Na pierwszem zaraz posiedzeniu rada członków podzieliła miasto na 9 cyrkułów, celem zbadania w każdym z nich położenia osób, żądających wsparcia, i postanowiła udzielać takowe tym tylko, którzy dla choroby, podeszłego wieku lub dla warunków położenia familijnego nie byli wstanie zapracować na utrzymanie własne i familii. Prócz tego rada postarała się o dostarczenie ubogim chorym bezpłatnej pomocy lekarskiej. Dalej, zajęła się również ubogą młodzieżą gimnazyjalną. Stan finansowy Towarzystwa w ubiegłym roku przedstawia się w następujący sposób. Przychód z różnych źródeł wynosi razem rs. 2112 kop. 87, rozchód na różne potrzeby rs. 1757 kop 38 zaczem pozostaje w gotowiźnie rs. 354 kop. 89 i prócz tego kapitał zapasowy w seryjach wynosi rs. 1200. Dane te dostatecznie wykazują należyty rozwój działalności Towarzystwa i spory już zasób środków jakiemi włada. Tak pożytecznej i umiejętnie uorganizowanej instytucyi życzymy nadal coraz lepszego powodzenia.

Ze wstydem przyznać musimy, iż pod niektóremi względami partykularz wyprzedza stolicę naszę. Widzimy to np. w pilnym krzątaniu się około zapewnienia należytej pomocy kształcącej się młodzieży gimnazyjalnej. Kiedy Warszawa, niosąc obfitą daninę uniwersyteckiej młodzi, zaledwie dochód z jednego koncertu i drobne niekiedy datki z ofiar prywatnych dla szkolnej dziatwy poświęca, prowincyjonalne miasta tymczasem niezrównanie obfitsze składają dla niej ofiary. Zewsząd dochodzą nas wieści o urządzanych w tym celu balach, koncertach i różnego rodzaju widowiskach publicznych, z których obfite zwykle płyną sumy.

W Piotrkowie bal dany 24 stycznia r. b. przyniósł przeszło czterysta rubli czystego dochodu. Kieleckie Towarzystwo Dobroczynności wyasygnowało na ten cel 176 rs. kop. 40, zebranych na wieczorze tańcującym, urządzonym przez miejscową Resursę i nadto rs. 343 kop. 60 tytułem pożyczki. Czyż należy pozwalać, aby uboższa prowincyja wyprzedała nas w tym względzie? Sądzę, że głos czynu będzie odpowiedzią na nasze pytanie.

Pocieszającym również objawem ruchu społecznego i umysłowego na prowincyi jest pewna solidarność miejscowych organów z okoliczną ludnością, w skutek czego stanowią one jedno ognisko, skupiające wszelkie objawy życia. Najlepszy tego dowód przedstawia Kuryjer Lubelski, w którym znajdujemy korespondencyje z najustronniejszych nawet zakątków okolicznej miejscowości. W korespondencyjach tych mieszczą się szczegółowe dosyć sprawozdania z wszelkiego rodzaju objawów społecznego ruchu, jaki się w zakątkach tych objawia. Dowodzą one, że w niejednym już głuchym zaciszu partykularza budzi się pocieszające ożywienie i zainteresowanie się sprawami ogółu — pierwszy promyk lepszej przyszłości.

Errare humanum est. Popełniliśmy mały błąd donosząc w zeszłym Nrze, iż zmartwychwstały Ekonomista ma ukazać się dopiero z dniem 1-go Lipca. Tymczasem dowiadujemy się, iż nastąpi to daleko wcześniej w bieżącym może nawet miesiącu. W każdym razie radzilibyśmy redakcyi, o ile możności, przyspie-

szyć pojawienie się pisma, gdyż późniejsza letnia pora, nie sprzyja ruchowi wydawniczemu.

Jesteśmy na *wystawie widoków* w stereoskopach i megaletoskopii p. Maliszewskiego. (Miodowa Nr. 10) A rzecz to warta doprawdy obojrzenia.

P. M. jeszcze przeszło przed rokiem miał w Warszawie czasową wystawę widoków stereoskopowych (z wystawy wiedeńskiej) i która też sympatycznego wówczas doznała przyjęcia. Obecnie p. M. urządził swą wystawę *na stałe*, nadając jej zarazem zakres więcej ogólny. Tak mianowicie w stereoskopach obok arcydzieł rzeźbiarstwa przedstawiają się pyszne widoki okolic Wiednia, Sabaudyi, Szwajcaryi i t. p.

Najbardziej jednak łudzącą jest perspektywa w *megaletoskopii*.

Tu widoki ukazują się w kolorach i powiększone do naturalnej wielkości. Wspaniałe np. wnętrze Kośćioła Ś-go Marka w Wenecyi, Biblijoteka papiezka w Watykanie, scena błogosławieństwa papiezkiego etc. etc. — wszystko tu przenosi rzecz można, patrzącego w rzeczywistość.

Widoki w wystawie p. Maliszewskiego będą od czasu do czasu zmieniane, czyli że tym sposobem wystawa nigdy się nie zestarzeje lecz przeciwnie—urozmaicana ustawicznie tem bardziej zadowolnić może publiczność. Wreszcie dodać winniśmy, że wkrótce mają przybyć na wystawę widoki najznakomitszych galerji jak np. florenckiej, drezdeńskiej i t. p. i w tym celu p. Maliszewski udał się już za granicę.

Wystawa przeto p. M. zasługuje ze wszech miar na moralne i materyjalne poparcie. Popieramy zresztą „łamane sztuczki“ różnych spekulantów nadsprejskich — oglądamy np. pchły tresowane, lub słuchamy psich oper, dla czegoż więc nie mielibyśmy ocenić przedsięwzięcia rzeczywistego pożytku?... Mówimy pożytku —bo wystawa p. M. nie jest tej cechy pozbawioną bynajmniej. Przeciwnie dla młodzieży zwłaszcza, jako rzecz kształcącą poniekąd smak estetyczny, zalecilibyśmy ją gorąco. Czyż bo wreszcie zamiast do knajpy „na bilardzik“ nie stokroć lepiej, pójść tam gdzie przyjemność z moralną korzyścią ściśle się łączy?..

Cena wejścia przystępna (20 kop.) pozwala nawet mniej zamożnym korzystać ze sposobności obejrzenia wystawy—godnej, powtórzymy raz jeszcze, rzetelnego poparcia.

*Szanowny Redaktorze!*

W obec proponowanych zmian w budżecie Towarzystwa Muzycznego, chciałbym powiedzieć kilka słów w przedmiocie, który zdaniem mojem nie był wyjaśnionym ani na ostatniem Zebraniu Ogólnem, ani w dziennikarstwie. Owszem to ostatnie zamiast z odpowiednią zadaniu swemu bezstronnością przedstawić rzecz przedmiotowo, uległo z małym wyjątkiem temu samemu błędowi, jaki Zebraniu Niedzielnemu zarzuca, t. j. namiętnemu przedstawieniu kwestyi.

Podług Ustawy celem Towarzystwa (art. 1), jest uprawianie sztuki muzycznej, za pomocą wzajemnego kształcenia się, zachęty i wspólnej zabawy muzycznej. W spełnieniu tego zadania Członkowie Towarzystwa, *mogą* zbierać się codziennie (art. 2), dla wykonywania dzieł muzycznych, wyjaśnienia kwestyj z dziedziny muzyki, i korzystania z czytelni. Dalej Ustawa w art. 3 mówi, że Towarzystwo urządzać *będzie* wieczory muzyczne przynajmniej dwa razy na miesiąc, z wyjątkiem lata, i urządzać *może* (art. 4), na własny dochód wielkie koncerta publiczne, dla rozpowszechnienia muzyki symfonicznej, kwartetowej, chórowej i w ogóle propagowania dzieł poważnych obcych i własnych kompozytorów; wreszcie może urządzać odczyty.

W myśl powyższego orzeczenia Ustawy, w Towarzystwie wytworzyły się od pewnego czasu dwa kierunki, a może właściwiej powiedzieć dwa *poglądy*: jeden, opierając się na art. 3 i 4 Ustawy uważa, że zadaniem instytucyi jest głównie upowszechnienie muzyki poważnej, utworów prawdziwie artystycznych, dzieł mistrzów, drugi kierunek pragnie muzyki amatorskiej, zachęcenia i ujawnienia talentów dawnych, chce wspólnej zabawy muzycznej, i ztąd nie tyle wieczorami środowemi, które są głównym objawem Towarzystwa, ile zajmuje się zebraniami Piątkowemi.

Pobudki zawiązania Towarzystwa Muzycznego, doświadczenie kilkoletniego istnienia, sama wreszcie natura rzeczy, przemawiają za pierwszym z tych poglądów. Ustawa dobrze rzecz określa: wieczory środowe Towarzystwo urządzać *będzie*; jest to więc obowiązek instytucyi. Na zebrania piątkowe członkowie zgromadzać się *mogą*, jest to zatem prawo pojedyńczych cząstek Stowarzyszenia. Istotnie, ów obowiązek wynikł z potrzeby muzyki poważnej, prawdziwie artystycznej, z konieczności *nastrojenia*, mieniącej się muzykalną Warszawy.

Konieczności tej dowodzą między innemi same zebrania piątkowe, które w ostatnich zwłaszcza czasach, miały coraz mniej spólności z artyzmem. Małe wyjątki zjawiska nie uchylają. Na zebraniach piątkowych coraz częściej dawały się słyszeć takie talenta, któreby dla dobra sztuki i w swoim własnym interesie, nie powinny wykraczać po za sferę koncertów domowych. I zresztą nie mogło być inaczej. Zebrań piątkowych jest za wiele, dla tego muzykalna ich wartość spadła w kursie; bo Towarzystwo Muzyczne jest jak Bank, wypuszczający bilety kredytowe. Ilość zasobów jego artystycznych, to złoto w monecie i sztabach, jego koncerta to owe bileta kredytowe. Im więcej tych ostatnich przy stałej ilości kruszcu, tym mniejszej muszą być wartości. Dla tego błądzą Ci, którzy tak silnie domagają się zebrań piątkowych, i ilość muzyki przekładają nad jej jakość. Jednym ze środków dźwigania Towarzystwa pod względem artystycznym byłoby, oprócz podniesienia wartości wieczorów dwu-tygodniowych, zniesienia obowiązków urządzenia zebrań piątkowych, unikanie tej konieczności, co tygodniowego *bawienia się* w muzykę. Przysporzyłoby to funduszom Towarzystwa cały iloczyn z 25 rsr. przez liczbę piątków, któryby w takim razie zasilił środowe wieczory, objaw artystycznej działalności instytucyi. Wracając zebraniom tygodniowym charakter określony Ustawą, w myśl którego członkowie mają prawo zbierać się w celach muzykalnych, możnaby z dobrym skutkiem dla sztuki, ograniczyć zebrania piątkowe do liczby dwóch na miesiąc. Przy podniesionej potrzebie zmian w budżecie Towarzystwa, należałoby mieć to na uwadze.

Jakkolwiek uważam, że za częste piątkowe zebrania mijają się z celem Towarzystwa Muzycznego, nie mogę jednak nie przyznać ich stronnikom konsekwencyi w działaniu: pogląd swój na działanie Instytucyi stwierdzali czynem, przybywali punktualnie na zebrania i składadali dań *jak umieli*. Czyż nie częściej się zdarzało zgromadzonym amatorom zostać bez muzyki z powodu braku światła artysty cznego, (t. j. dyżurnego członka) i gazowego t. j. sali oświetlonej i projektowi muzykalnego wieczoru zostać bez słuchaczów.

Czy taką samą konsekwencyą okazali stronnicy drugiego poglądu na zadanie Towarzystwa niech odpowiedzą oni sami, niech powie Dyrektor Muzyczny i b. komitet. Wyżej wspomniałem jak rozumiem zadanie Towarzystwa. Otóż zgadzając się teoretycznie ze stronnikami i artystycznych celów instytucyj nie mogę przystać na praktykowany przez nich sposób wykonania środków, a trudno zaprzeczyć że praktyka rozchodzi się tu zupełnie z teoryją. Czy wieczory środowe były w istocie drogą bez celu? Zapewne sami kierownicy Towarzystwa nie dadzą na to twierdzącej odpowiedzi, a Dyrektor Muzyczny będzie z niemi choć w duchu jednego zdania. Koncerty środowe podobnież jak piątki spadły w kursie Czuł to dobrze komitet, a jako biegły administrator chciał stan faktyczny usankcyjonować, obyczaj podnieść do godności prawa. Takie było znaczenie projektowanej zmiany art. 3° Ustawy „Towarzystwo urządzać będzie wieczory muzyczne w *miarę możności*..“ Co do mnie, nie rozumiem troszkę *obowiązku*, którego wykonanie pozostawia się możności.... Kto obiecuje, komu wolno czynić cokolwiek w miarę możności, ten już nie ma obowiązku, ale prawo. I może byłoby szczerszą taka redakcya poprawki. „Towarzystwo będzie miało *prawo* urządzać wieczory muzyczne, etc. W tym lub tamtym sposobie zredagowany art. 3, sprowadziłby równouprawnienie między stronnikami artystycznego i dyletanckiego kierunku Towarzystwa, bo jedni i drudzy mieliby *prawo*: pierwsi, dawać koncerta środowe z muzyką poważną, drudzy bawić się w muzykę co piątek. A jeźli przypomniemy z jakim stopniem gorliwości jedni i drudzy dążenia swoje urzeczywistniali, musim wyrazić przekonanie, że działalność Towarzystwa zredukowałaby się do zebrań piątkowych, przeciwko którym z powowodu niskiej ich wartości muzykalnych nasi artyści i nasi mistrze protestują i słusznie. Więc dla tego uważałem, że dyletańci nasi choć ich zapatrywania nie podzielam, byli w działaniu konsekwentniejsi od arcykapłanów sztuki.

Dźwignąć teraz Towarzystwo pod względem finansowym i artystycznym możnaby, najprzód zmniejszeniem jak już powiedziano liczby piątków, powtóre podniesieniem składki, co nie jest wcale takim strasznym dyjabłem jak sobie wyobrażają niektórzy członkowie, wreszcie polepszeniem wartości koncertów środowych. *Pytanie.* Do czyich obowiązków należy urządzenie wieczorów muzycznych? *Odpowiedź.* Sta-

ranne urządzenie 16 wieczorów muzycznych oraz wszystkich innych koncertów Towarzystwa należy do Dyrektora Muzycznego. (Cierpliwości Czytelniku, po nitce dojdziemy do kłębka). Otóż jasny wniosek, że Dyrektor Muzyczny najlepiej może objaśnić przyczyny dotychczasowej *niepraktyczności*, sześciu ustępów § 4 Regulaminu, orzekającego obowiązki Dyrektora a jednak wprowadzenia tych ustępów w praktykę miałoby Towarzystwo żądać prawo ze względu na cel swego istnienia, i z uwagi na art. 19 Ustawy, któremu przecież nie podobna zarzucić, ażeby w wykonaniu także pozostał martwym przepisem.

Wiem, że dotykam przedmiotu drażliwego, wolałbym, ażeby nie istniały przyczyny do uwag w tym względzie, jednak choć to uprzejmie nazwano nieprzyzwoitością, uważam za obowiązek rzecz objaśnić. Zdaje mi się, że przed niedzielnem zebraniem nie wszyscy członkowie byli jednego zdania w tej nieprzyzwoitej kwestyi, nie którzy wierzyli, że obowiązki Dyrektora, spełniają się z jak najgorliwszą starannością. Dopiero gdy jedna z pań nie wydając żadnego werdyktu, zrobiła jedynie zapytanie w tym kierunku, a przewodniczący zgromił nawiasowy oklask reprymandą, nie podobna było nie poddać wątpliwości faktu, będącego przedmiotem interpelacyi. Doprawdy, dobra sprawa jawności się nie lęka, owszem tylko jawność może niesłuszne posądzenie rozproszyć. Jeżeli przewodniczący uważał interpelacyją za niewłaściwą i miał przekonanie o pożytecznej i gorliwej działalności Dyrektora, należało tylko wypowiedzieć to. Prawda powinna zawsze zyskać oklask, interpelantka byłaby dotkliwiej i skuteczniej ukaraną, a obwiniony z zarzutu oczyszczonym. Tymczasem przewodniczący, jeźli miał przekonanie o gorliwości Dyrektora, nie wyświadczył mu usługi przez uduszenie kwestyi, i to tonem, który sprawiał chwilowe wrażenie, że nie jesteśmy w *towarzystwie* ale stoimy w szeregu.

Ta kwestyja odpowiedzialności Dyrektora dziwnie jakoś jest pojmowaną. Ustawa i Regulamin wkładają nań ważne obowiązki, Towarzystwo przeznacza mu płacę rsr. 100 rocznie, a kiedy nie mając innego sposobu kontrolowania jego działań, robi tylko przymówki całemu komitetowi, co rok przeszło nie było rozumianem przez właściwego do tych przymówek adresanta, kiedy wreszcie widząc bezskuteczność tych sposobów korzysta z interpellacyi zaadresowanej „do własnych rąk“, wtedy spotyka je szorstka nagana za nieprzyzwoite znalezienie się. Jakto, więc Dyrektor ma prawo nie działać podług wymagań Ustawy, i Regulaminu, a Towarzystwo niema nawet prawa tego zaznaczyć. To jakieś w duchu pewnego niemieckiego kanclerza rozdzielenie praw i obowiązków. O, panowie obrońcy przyzwoitości, niechże Towarzystwu będzie wolno *powiedzieć* to, co komu wolno było *robić*, jeźli tak afirmatywnie da się określić działalność Dyrektora Muzycznego. Nie sądźcie że tu kto upomina się o prawo szarpania cudzej własności.

Szanujemy pana A. czy Z. jeźli na to zasługuje cnotą i dobremi chęciami, ależ mamy prawo zapytać się jak pan A.... Z. spełnia swe obowiązki. Czołem bijmy osobom, gańmy obyczaje.

Wracam do przedmiotu, a raczej skończyć chcę uwagi nad nim. Wielu członków jest przekonanych, że Towarzystwo dobrzeby zrobiło, zaprowadzając jeden na miesiąc wieczór „środowy“ i ograniczywszy piątki do dwóch. Jeżeli stowarzyszeni nie znudzą się częstem piątkowaniem, jeżeli nie zniechęcą się do muzyki miernością egzekucyi czy kompozycyi, to dobrym wieczorom środowym zapewnionem być może powodzenie przez liczne zbieranie się członków. którzy nie tylko sami przybywać będą, lecz i z rodziną ich i znajomi. Któż nie przypomni sobie niektórych wieczorów z doborowym programem, zapełniających sale po drzwi i ściany....

Jeszcze słówko co do podniesienia składki. Obliczmy ile warte byłyby koncerta Towarzystwa (artystyczne), odczyty, czytelnia z doborem gazet, z miejscem odpowiedniem! Pół rubla miesięcznie za to, to doprawdy za mało. Obaczmy, ile wynosi składka w Resursach, policzmy ileby kosztowało nas czytanie gazet w cukierniach, w dymie i gwarze, gdzie jeszcze oglądać się trzeba za szubą lub kapeluszem. A w Towarzystwie mamy pisma zbiorowe, mamy w potrzebie numera gazet z przeszłości etc. etc.

Towarzystwo spełnia i inne zadania oprócz określonego Ustawą. Wielu ludzi, ociężałych do życia towarzyskiego domów prywatnych, tu przychodzi przepędzić wieczór, odbierając go może bezmyślnemu przesiadywaniu w kawiarni. A z Towarzystwa wychodzą oni z pewną treścią i moralnym zasobem, bo to stara prawda, że sztuka uszlachetnia.

Niech więc członkowie nowego komitetu, będą tak jak prawie wszyscy ich poprzednicy ludźmi dobrej woli i czynu. Gdy Towarzystwo zboczy, że kierunek jego w energicznych jest rękach, że członkowie komitetu, znajdują cywilną odwagę nie dopuścić ospałej dyrekcyi spraw artystycznych, do czego art. 18-ym Ustawy są obowiązani, to znajdzie się też ze strony Towarzystwa gotowość przyjęcia zmian, jakie są potrzebne dla dźwignięcia instytucyi, a każdy chętnie poniesie ofiarę i podniesieniu składki się podda, byleby miał przekonanie, że grosz jego nie na opłacenie artystycznego sztandaru, lecz na rzeczywisty cel sztuki i uzacnienie przez nią społeczeństwa jest obracany.

*B. S.*

---

# ROZMAITOSCI.

† W dniu 25 Marca r. b. zakończył życie ś. p. Jan Jaworski, właściciel drukarni i Wydawca oraz współwłaściciel Warszawskiego Towarzystwa Górniczego.

* * *

*Spadek po Michelet'cie.* Dnia 18 Stycznia nastąpiła licytacyja prac literackich, zostawionych przez Micheleta. Zakupił je Michel Levy za sumę 56,000 franków. Cena ta zdawać się może bardzo małą, ale trzeba zważyć, że największe dzieła jego, jak np. Historyja Francyi i Dzieje rewolucyi francuskiej, zostały nabyte przed tem za cenę 215,000 franków.

---

## Odpowiedzi Redakcyi.

P-u *W. E. z pod Opalowa.* Z rad życzliwych chętnie zawsze korzystać pragniemy — pozwól Pan jednak przyznać się nam otwarcie, iż najzupełniej nie rozumiemy o co mu chodzi. Co do powieści „Świetne widoki pani Marcinowej“ to *de gustibus non est disputandum.* Dla P-na „gadanina to bez talentu“ a tymczasem J. J. Kraszewski, w liście ktory z pańskim *rymem*, jednocześnie otrzymaliśmy, tak pisze o P-ni Marcinowej „*Wyborna nad wyraz wszelki była powieść Felicyjana i żal mi wielki że się z P-nią Marcinową i Agatką przychodzi rozstać. Znakomity to talent!* Dosłownie przytoczone wyrazy mistrza starczą panu za „rzetelne choćby pod sekretem“ zdanie, jakiego żądasz Pan od nas co do wzmiankowanej powieści.

P-nu *Mik.... Domań... w Śmile.* Adres zmieniony.

P-u *M. Cybuls... p. Kibarty w Gutkowie.* Wszystkie wyszłe numera posyłamy. Prosimy o kwit pocztowy bo opłaty na I kw. r. b. nie odebraliśmy dotąd wcale.



---

Sprostowanie w Nr. 12 Opiekuna Domowego w powieści, „Omanka“ stron. 181, łam 3, wiersz od dołu 6-ty zamiast „*konie*“ czytaj „*serce*“

Дозволено Цензурою.—W drukarni E. Skiwskiego,—Warszawa, Elektoralna, Nr. 758 (nowy) 28.

Redaktor i Wydawca Henryk Perzyński.